

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XXII.

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XXII

304966

RODZINA POŁANIECKICH

CZEŚĆ VIII.

WARSZAWA

NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

(DODATEK BEZPŁATNY)

1900



78958 L-р

Дозволено Цензурою.

Варшава, 9 Ноября 1899 г.

LIX.

Polaniecki, pod wrażeniem katastrofy, zapomniiał zupełnie o obietnicy uczynionej Osnowskiemu, że napisze mu, jak Zawilowski przeżył zerwanie małżeństwa i odjazd panny Castelli. Osnowski jednak, dowiedziawszy się o wypadku z gazet, począł codziennie wypytywać depeşami o stan chorego — i niepokoił się nim ogromnie. W prasie i publiczności krążyły najsprzeczniejsze wieści. Niektóre pisma donosiły, iż stan ów jest bez nadziei, inne przepowiadały rychłe wyzdrowienie. Polaniecki przez długi czas nie mógł też donieść nic pewnego, i dopiero po dwóch tygodniach przesłał depeşę, że chory przestał się wahać między życiem a śmiercią — i że lekarze ręcą już stanowczo za jego ocalenie.

Osnowski odpowiedział obszernym listem, w którym donosił zarazem rozmaite nowiny z Ostendy.

— «Bóg panu zapłać za dobrą wiadomość. Więc to już stanowczo wszelkie niebezpieczeństwo minęło. Nie umiem panu wypowiedzieć, jaki ciężar spadł z serca nam obojgu. Powiedz pan Ignasiowi, że nie tylko ja, ale i moja żona przyjęła ze łzami nowinę o jego ocaleniu. Ona o nikim innym teraz nie mówi i nie myśli, tylko o nim. Ach panie, co to są kobiety! — możnaby tomy o tem pisać! Anetka to przecie wyjątek, a da pan wiarę, że, pomimo całego przerażenia, żalu i współczucia, Ignas urósł jeszcze w jej oczach przez ten nieszczęsny postępek. One szukają zawsze strony romantycznej, tak dalece, że nawet i w Kopowskim, Anetka, która zna całą jego głupotę, widzi teraz, jako w sprawcy nieszczęścia, coś demonicznego. Ale przede wszystkim, chwała Bogu za ocalenie Ignasia! Niech żyje na chwałę naszego społeczeństwa i niech znajdzie godną siebie istotę. Z depeszy pańskiej wnoszę, że jest pod opieką panny Heleny. Niech i jej da Bóg wszystko dobre za takie poczciwe serce. Ona istotnie nie ma nikogo bliższego na świecie — i wyobrażam sobie, że Ignas przez wspomnienie Płoszowskiego jest jej jeszcze droższy.

«Teraz, gdy mnie pan już uspokoił o jego życie, mogę wam przesłać kilka wiadomości o ciotce Broniczowej i o Linecie. Może pan już

słyszał, że one tu są, wraz z Kopowskim. Pojechały naprzód do Scheveningen, ale dowiedziały się, że tam ospa, więc uciekły do Ostendy, nie przypuszczając, że i my tu jesteśmy. Spotkaliśmy się kilkakrotnie w Kursalu — i udawaliśmy, że się nie znamy. Kopowski zostawił nawet u nas bilety, ale go nie rewizytowałem, pomimo, iż, jak słusznie mówi moja żona, on w tem wszystkim daleko mniej winien od nich. Dopiero po otrzymaniu tej depeszy, w której mi pan donosisz, że Ignas stanowczo uratowany, zdawało mi się, że sama ludzkość nakazuje im ją posłać — i tak zrobiłem. Im się i tak tu źle dzieje, bo znajomi odsuwają się od nich — chciałem więc, by przynajmniej to wiedziały, iż nie mają życia ludzkiego na sumieniu, tem bardziej, że Lineta jakoby jednak odczuła postępek Ignasia. Jakoż tego samego dnia były u nas z wizytą, i żona moja je przyjęła. Ona słusznie mówi, że zło jest chorobą moralną, a w chorobie nie godzi się krewnych opuszczać. Wogóle to pierwsze zetknięcie się było i ciężkie i kłopotliwe dla obu stron. O Ignasiu nie mówiliśmy ani słowa. Kopowski występuje tu jako narzeczony Linety, ale nie wydają się zbyt uszczęśliwieni, choć, co prawda, to ona stosowniejsza dla niego, niż dla Ignasia, i pod tym przynajmniej względem wszystko, co zaszło, można

uważać za zrzączenie boże. Wiem też od osób postronnych, że tak przedstawia rzecz i ciotka Broniczowa. Nie potrzebuję panu mówić, jak mnie złości to nadużywanie imienia boskiego. Wiem, że niektórym z bawiących tu znajomych próbowała wmówić, iż zerwały z Ignasem z powodu jego braku uczuć religijnych; innym opowiadała historye o jego despotyzmie i niezgodności usposobień z Linetą. Wszystko to jest oszukiwanie, nietylko świata, ale i siebie. Ciotka, przez ciągle wmawianie sobie i innym, sama w końcu uwierzyła w podniosły charakter Linety — i pod tym względem doznała ogromnego zawodu. Poczująca się wprawdzie do obowiązku osłaniania jej, wymyśla Bóg wie co na jej obronę i miota się, jak szalona, ale poczucie zawodu w niej tkwi i myślę, że się tem gryzie, bo zmierzniała mocno. Chodzi też im widocznie o stosunki z nami; myślą, że je to niejako zwiąże napowrót ze światem, ale chociaż żona moja je przyjęła, oczywiście, stosunki nasze nie mogą powrócić do dawnej normy. Ja pierwszy nie mógłbym na to pozwolić, ze względu na mój obowiązek dobierania dla żony odpowiedniego towarzystwa. Ślub Linety z Kopowskim ma się odbyć podobno za dwa miesiące w Paryżu. Naturalnie, że nie będziemy. Żona moja zresztą patrzy na to bardzo sceptycznie. Rozpisałem

się obszernie, w nadziei, że w ten sposób zobowiązę pana do równie obszernej odpowiedzi ze wszelkimi szczegółami o Ignasiu. Gdy stan zdrowia jego na to pozwoli, niech go pan uściska ode mnie i niech mu pan powie, że ma i zawsze będzie miał we mnie najserdeczniejszego, duszą i sercem oddanego mu przyjaciela».

Pani Marynia, mimo spóźnionej pory, mieszkała jeszcze w Buczynku, więc Połaniecki, odebrawszy ten list w biurze, pokazał go najpierw Bigielom, u których był na obiedzie.

— Z jednej rzeczy się cieszę — rzekła, przeczytawszy list, pani Bigielowa: — oto, że ona wychodzi sobie zaraz za tego Kopowskiego. Inaczej balabym się, że w Ignasiu znów się coś odezwie i że, wyzdrowiawszy, gotówby do niej powrócić.

— Nie. Zawilowski ma dużo charakteru i myślę, że nie wróciłby w żadnym razie — rzekł Bigiel. — Jak myślisz, Stachu?

Bigiel tak był przyzwyczajony pytać w każdym wypadku o zdanie współnika, że i w tym nie umiał się bez niego obejść.

— Ja myślę, że one, gdy się rozpatrzą, co zrobiły, prędzejby gotowe były wrócić, a co do niego, żyłem już tyle lat i widziałem tyle nieprawdopodobnych rzeczy, że za nikogo nie ręczę.

W tej chwili Połanieckiemu znów przypom-

nialy się słowa: «Ja wiem, jaka ona jest, ale nie mogę od niej duszy oderwać.»

— A tybyś wrócił na jego miejscu? — spytał Bigiel.

— Myślę, że nie, ale nie zaręczam i za siebie. Przedewszystkiem nie byłbym sobie w łeb strzelał. Zresztą, nie wiem.

I mówił to z wielkiem zniechęceniem, pomyślał bowiem, że jeśli kto, to on nie miał prawa za siebie ręczyć.

Lecz pani Bigielowa poczęła mówić:

— Dalabym nie wiem co, żeby Ignasia zobaczyć, ale doprawdy, że łatwiej fortecę zdobyć, niż się do niego dostać. I nie rozumiem, dlaczego panna Helena tak go broni przed ludźmi, nawet tak życzliwymi, jak my.

— Ona go broni przed ludźmi, bo mu doktor nakazał bezwzględny spokój. Zresztą jemu, od czasu jak odzyskał pamięć, widok ludzi, choćby najżyczliwszych, jest ogromnie przykry. I to się rozumie. Nie może przecie z nimi mówić o swoim postępku, a widzi, że każdy, kto się do niego zbliża, myśli nie o czem innem, tylko o tem.

— A pan bywa u niego codzień!

— Mnie dopuszczają, bo ja należałem ponieważ do sprawy od początku. Pierwszy przecie

doniosłem mu o zerwaniu małżeństwa — i niby to go pilnowałem.

— Czy on tę dziewczynę jeszcze wspomina?

— Pytałem o to panny Heleny i panny Ratkowskiej: powiedziały mi, że nigdy. Sam przeziaduję także przy nim godzinami i nie słyszałem nigdy nic. To jest dziwna rzecz: on jest przytomny, wie, że jest ranny, wie, że chory, ale zdaje się przytem nie pamiętać rzeczy przeszłych, tak jakby przeszłość wcale nie istniała. Lekarze mówią, że rany w głowę powodują różne takie najszczególniejsze objawy. Zresztą poznaje każdego, kto się do niego zbliży; okazuje ogromną wdzięczność pannie Helenie i pannie Ratkowskiej. Szczególniej lubi pannę Ratkowską i widocznie tęskni za nią, gdy na chwilę od niego odejdzie. Ale też one obie — dalibóg! — słów na to niema — jakie pocziwe.

— Mnie szczególniej wzrusza panna Ratkowska — rzekła pani Bigielowa.

Bigiel zaś wtrącił:

— Ja, zastanowiwszy się dobrze nad wszystkim, doszedłem do wniosku, że ona musiała się w nim kochać.

— Niepotrzebnieś tracił czas na namysł, — odpowiedział Połaniecki — bo to jasna rzecz, jak słońce. Biedactwo chowało w sobie uczucie, póki nie przyszło nieszczęście. Dlatego odrzuciła taką

partycę, jak Świrski. Nie robię z tego tajemnicy, bo sam Świrski rozpowiada to na wszystkie strony. Jemu się zdaje, że winien jej zadośćuczynienie za to, iż posądzał ją o miłość do Kopowskiego. Gdy Zawilowski strzelił do siebie, ona była po odjeździe Osnowskich u swojej krewnej, pani Mielnickiej, ale dowiedziawszy się, że panna Helena zabrała Ignasia, przysłała do niej i uprosiła ją, by jej pozwoliła zostać. Wszyscy doskonale wiedzą, jak to rozumieć, ale ona się z takimi względami nie liczy, również jak i panna Helena.

Tu Polaniecki zwrócił się do pani Bigielowej:

— Ach, pani! panią najbardziej wzrusza panna Ratkowska, ale niech pani pomyśli, co to za, dalibóg, tragiczna postać taka panna Helena. Zawilowski przynajmniej żyje, a Płoszowski lepiej wymierzył. I wedle jej pojęć, niema dla niego miłosierdzia nawet na tamtym świecie. A ona go kocha. Oto położenie! Wreszcie po takim jednym samobójstwie przychodzi to drugie, rozdziera wszystkie rany, odświeża wszystkie wspomnienia. Panna Ratkowska może być sobie wzruszająca, ale tamta ma życie złamane raz na zawsze, żadnej nadziei, tylko rozpacz.

— Prawda, prawda! Ale ona musiała przywiązać się do Ignasia, skoro nim się tak opiekuje...

— Ja rozumiem, dlaczego ona to robi. Oto za ratunek Zawilowskiego chce wyprosić u Pana Boga miłosierdzie dla tamtego.

— To być może — rzekł Bigiel. — A Zawilowski, kto wie, czy nie ożeni się z panną Ratkowską, jak wyzdrowieje.

— Jeśli zapomni o tamtej, jeśli się nie złamie i jeśli wyzdrowieje.

— Jakto, jeśli wyzdrowieje? Sam przecie mówiłeś, że to już niewątpliwe.

— Niewątpliwe, że będzie żył, ale pytanie, czy będzie dawnym Zawilowskim. Choćby sobie był w głowę nie strzelał, to i wówczas trudnoby było orzec, czyby takie przejście nie złamało człowieka, tak egzaltowanego. A dodaj jeszcze rozbitą głowę! Za to się przecie płaci. Kto tam wie, co będzie dalej, ale teraz, na przykład, niby to przytomny, niby mówi z sensem, a czasem utnie i nie może sobie przypomnieć najprostszego wyrazu. Dawniej się nigdy nie zaciął. I to dziwne, że nazwy rzeczy pamięta dobrze, ale jak chodzi o jaką czynność, najczęściej staje — i albo sobie przypomni z wysileniem, albo wcale.

— A cóż doktor?

— W Bogu nadzieja, że to przejdzie — i doktor też jej nie traci. Jednak wczoraj jeszcze, jakem tylko wszedł, powiedział: «Pani...» i uciał.

Widocznie chodziło mu o Marynię, którą sobie nagle przypomniał — ale nie umiał o nią spytać. Z każdym dniem więcej mówi — to prawda, tylko, nim przyjdzie do siebie, może jeszcze dużo czasu upłynąć, a jakieś ślady mogą na zawsze pozostać.

— A Marynia wie już o wszystkim?

— Póki nie było pewności, że będzie żył, trzymałem wszystko w tajemnicy, ale potem woląłem jej powiedzieć. Oczywiście, zachowałem wszelkie ostrożności. Całkowitego sekretu trudno było dłużej utrzymać. Zanadto ludzie o tem mówią, i bałem się, żeby nie dowiedziała się z boku. Powiedziałem jej zresztą, że jest lekko ranny i że nic mu nie grozi, ale że lekarze zakazują go odwiedzać. I tak zmartwiła się ogromnie.

— Kiedy ją pan zabierze do miasta?

— Póki pogoda, wolę, żeby siedziała na wsi.

Dalszą rozmowę przerwał list, który Polańickiemu oddał służący. List był od Maszki i zawierał następujące słowa:

— «W twoim własnym interesie chcę się z tobą widzieć. Będę cię czekał u siebie do piątej.»

— Ciekawym, czego ten chce? — rzekł Polańicki.

— Kto taki?

— Maszko. Chce się ze mną widzieć.

— Interesa i interesa! — rzekł Bigiel. — Ten ma ich wyżej uszu. Czasem doprawdy dziwię się, skąd mu starczy sił i głowy na to wszystko. Czy wiesz, że pani Krasławska przyjechała i że całkiem straciła oczy? Nic już nie widzi — ale to, co się zowie — nic! Byliśmy u tych pań przed wyjazdem ze wsi. Gdzie się obrócić — bieda ludzka, aż litość bierze patrzeć.

— Ale też w nieszczęściu każdy się pokazuje tem, czem jest — odrzekła pani Bigielowa. — Pamięta pan, żeśmy uważali panią Maszkową za charakter trochę oschły, a tymczasem nie uwierzy pan, jaka ona jest dobra dla matki. Nie pozwala się służącej do niej zbliżyć, sama ją wszędzie oprowadza, posługuje jej, czyta. Prawdziwie, że mi sprawiła miłą niespodziankę, a raczej obie, bo i pani Krasławska straciła całkiem dawną fanaberyę. Przyjemnie patrzeć, jak się te kobiety kochają. Pokazuje się, że w pani Maszkowaj było jednak coś, na czem nie umieliśmy się poznać.

— Obie też ogromnie oburzały się postępkom panny Castelli — dodał Bigiel. — Pani Krasławska powiedziała nam: «Gdyby moja Terka tak postąpiła, to, jak jestem ślepa i potrzebująca opieki, takbym się jej wyparła.» Ale pani

Maszkowa jaka jest, taka jest, a takby nie postąpiła, bo to inny gatunek kobiety.

Polaniecki wypił swoją filiżankę czarnej kawy i począł się żegnać. Wszelka rozmowa o pani Maszkowej stała mu się od pewnego czasu nieznośną, a oprócz tego wydało mu się, że znów słydszy jakiś ustęp z tej dziwnej komedyi ludzkiej, która rozgrywała się koło niego i w której on odgrywał także swą marną rolę. Nie przyszło mu na myśl, że natura ludzka jest tak złożona, iż nawet w najlichszej mogą się jeszcze znaleźć jakieś pierwiastki dobre, i że pani Maszkowa, mimo wszystkiego, może być jednak kochającą córką. Wogóle wołał o tem nie myśleć, a natomiast począł się zastanawiać nad pytaniem: czego może od niego chcieć Maszko? Zapomniawszy, iż Maszko napisał w liście, iż chce go widzieć, nie w swoim, ale w jego własnym interesie, przypuszczał z pewnym niepokojem, że znowu zechce od niego pieniędzy.

— A ja — pomyślał — teraz mu ich nie odmówię.

I przyszło mu do głowy, że życie jest podobne do maszyneryi zegarka. Gdy w jednym kółku coś się zwichnie, wszystkie poczynają działać nieprawidłowo. Co za związek mógł istnieć między jego zająciem z panią Maszkową a jego interesami, jego kasą a jego kupiectwem?

A jednak poczuł, że nawet jako kupiec nie ma — przynajmniej względem Maszki — takiej swobody, jaką miał dawniej.

Jednakże przypuszczenia jego okazały się mylne. Maszko nie przyszedł żądać pieniędzy.

— Szukałem cię w biurze i w domu, — rzekł — wreszcie domyśliłem się, że musisz być u Bigielów i posłałem tam kartkę. Chcę z tobą pomówić w twojej własnej sprawie.

— Czem ci mogę służyć? — spytał Połaniecki.

— Przedewszystkiem, proszę cię, by to, co powiem, zostało między nami.

— Dobrze. Słucham cię.

Maszko patrzył przez chwilę w milczeniu na Połanieckiego, jakby chcąc go przygotować tem milczeniem do jakiejś ważnej wiadomości, wreszcie rzekł z dziwnym spokojem, odmierzając każdy wyraz:

— Chciałem ci powiedzieć, że jestem zgubiony bez ratunku.

— Przegrałeś sprawę?

— Nie. Sprawa przyjdzie dopiero za parę tygodni, ale wiem, że ją przegram.

— Skąd masz tę pewność?

— Pamiętasz, com ci niegdyś mówił, że sprawy o zwalenie testamentów prawie zawsze się wygrywa dlatego, że atak jest zwykle ener-

gicniejszy, niż obrona, że na zwaleniu zwykle osobiście komuś zależy, a na utrzymaniu — nie. Na świecie do wszystkiego można się przyczepić, bo choć co jest zgodne z duchem prawa, zawsze niemal, w mniejszym lub większym stopniu, nie czyni zadość jego literze, a sądy muszą trzymać się litery.

— Tak. To wszystko mówiłeś.

— Otóż tak jest i z tą sprawą, której ja się podjąłem. Nie była ona tak awanturniczą, jak się zdaje. Mnie wszystko zależało na tem, żeby zwalić testament — i byłbym może potrafił wykazać pewne jego niezgodności z literą prawa, gdyby nie to, że ktoś, równie namiętnie, usiłuje wykazać, że ich niema. Długo ci o tem nie będę rozповідаł, dość, żebyś wiedział, iż mam do czynienia nietylko z przeciwnikiem adwokatem — i to z kutym na cztery nogi, ale z osobistym nieprzyjacielem, któremu chodzi nietylko o sprawę, ale o to, by mnie zgubić. Niegdyś sponiewierałem go i teraz się mści.

— Ja wogóle nie rozumiem, jakim sposobem nie masz do czynienia wyłącznie z prokuratorką?

— Bo są i zapisy prywatne, w których obronie strona przeciwna udała się do tego Śledzia. Zresztą mniejsza z tem. Sprawę muszę przegrać, bo jest w tych warunkach do przegrania,

i gdybym był Sledziem, tobym ją wygrał tak, jak ją wygra on. Z góry to wiem — i nie ludzę się. Dość już tego wszystkiego.

— To pójdziesz dalej; będziesz apelował.

— Nie, mój kochany. Ja już nie mogę iść dalej.

— Dlaczego?

— Dlatego, że mam długów więcej niż włosów na głowie, że po pierwszej przegranej wierzyciele rzucają się na mnie — i że (tu Maszko zniżył głos) ja muszę wyjechać...

Nastąpiło milczenie. Maszko wsparł łokieć na kolanie, głowę na dłoni i czas jakiś siedział pochylony — po chwili zaś, nie podnosząc głowy, począł znów mówić, jakby sam do siebie:

— Urwało się. Wiązałem rozpaczliwie, póki mi ręce nie ustaly; każdemu zbrakłoby sił, a ja jeszcze wiązałem. Ale już nie mogę! Bóg widzi, już nie mam sił. Każda rzecz musi mieć swój koniec — i niech się to raz skończy.

Tu odetchnął, jak człowiek ogromnie zmęczony. Poczem podniósł głowę i rzekł:

— To jednak tylko moja sprawa, a ja przyszedłem, by mówić o twoich. Słuchaj! Według kontraktu zawartego przy sprzedaży Krzemienia, miałem po rozparcelowaniu Magierówki spłacić twoją żonę; ty masz prywatnie u mnie kilka tysięcy rubli. Twojemu teściowi mam wypłacać

dożywotnią rentę. Otóż przychodzę ci powiedzieć, że nie za tydzień, to za dwa, uciekam za granicę, jako bankrut — i że grosza z tego nie będziecie widzieli.

I Maszko, powiedziawszy to wszystko z całą dobitnością i zuchwalstwem człowieka, który nie ma już nic do stracenia, począł patrzeć w oczy Polanieckiego, jakby szukając burzy.

Lecz zawiódł się najzupełniej. Polanieckiego twarz pociemniała wprawdzie na jedno mgnienie oka, jakby z tłumionego gniewu, ale po chwili uspokoił się i rzekł:

— Ja się zawsze spodziewałem, że się to tak skończy.

Maszko, który, wiedząc z kim ma do czynienia, przypuszczał raczej, że Polaniecki chwyci go za kołnierz, popatrzał na niego ze zdziwieniem, jak gdyby chciał go spytać: co mu się stało?

A Polaniecki w tejże chwili pomyślał:

— Gdyby chciał jeszcze ode mnie na drogę — tobym mu nie mógł odmówić.

Głośno zaś powtórzył:

— Tak! to było do przewidzenia.

— Nie! — odrzekł Maszko, z namiętnością człowieka, który nie chce rozstać się z myślą, że wszystkiemu winien tylko zbieg wyjątkowych okoliczności; — tego nie masz prawa mó-

wić. Ja, na godzinę przed śmiercią, gotówem powtórzyć, że mogło pójść inaczej.

A Polaniecki spytał, jakby z odcieniem niecierpliwości:

— Mój kochany, czego ty właściwie ode mnie chcesz?

Maszko ochłonął i odrzekł:

— Ja od ciebie niczego nie chcę. Przyszedłem tylko, jako do człowieka, który mi zawsze okazywał życzliwość i u którego, prócz długów pieniężnych, zaciągnąłem jeszcze dług wdzięczności — żeby ci wyznać otwarcie, jak rzeczy stoją i zarazem powiedzieć: ratuj co można i ile można.

Polaniecki zacisnął zęby. Sądził, że nawet w tej ironii życia, której zgrzyt słyszał ciągle od pewnego czasu wokół siebie, powinna być pewna miara. Tymczasem słowa Maszki o przyjaźni i długu wdzięczności wydały mu się czemś po prostu przechodzącym tę miarę: «Niech diabli wezmą pieniądze i ciebie — byleś raz sobie poszedł!» — pomyślał w duchu.

Lecz, potłumiwszy w sobie chęć wypowiedzenia tego głośno, rzekł:

— Nie widzę sposobu.

— Jest tylko jeden — odpowiedział Maszko. — Póki jeszcze ludziom niewiadomo, że muszę się załamać, póki ze sprawą testamentu wiążą się

nadzieje, póki moje nazwisko i mój podpis coś znaczą — możesz sprzedać sumę swojej żony. Powiesz nabywcy, że chcesz skapitalizować cały majątek, lub coś podobnego. O pozór łatwo. Nabywca znajdzie się zawsze, zwłaszcza, gdy zdecydujesz się sprzedać ze znacznem ustępstwem. W widokach zysku, kupi ją byle Żyd. Woleę, żeby kto inny stracił, niż ty; a tobie wolno było nie słyseć tego, com ci powiedział o mojem przyszłem bankructwie, i wolno ci mieć nadzieję, że sprawę wygram. Możesz być przytem pewny, że ten, kto od ciebie tę sumę kupi, sprzedałby ci ją bez żadnego skrupulu, choćby wiedział, że jutro nie będzie warta złamanego szeląga. Świat jest giełdą, a na giełdzie większość interesów robi się wedle tej normy. To się nazywa zrzeczność.

Na to Polaniecki odpowiedział:

— Nie. To się nazywa inaczej. Wspomniałeś Żydów: otóż istnieją pewne interesa, które oni określają jednym wyrazem: «schmutzig!» Sumę mojej żony będę ratował w inny sposób.

— Jak wola twoja. Ja, mój kochany, wiem także, co wart mój sposób, tylko widzisz, mimo wszystkiego, powiedziałem sobie, że ci go powinienem podać. Jest to może uczciwość przyszłego bankruta — ale ja już nie mogę mieć innej. Łatwo się domyślisz, jak mi lekko to mówić.

Wiedziałem zresztą z góry, że się na to nie zgodzisz, więc chodziło mi tylko o to, by zrobić swoje. A teraz daj mi filiżankę herbaty i kieliszek koniaku, bo ledwie żyję.

Połaniecki zadzwonił o herbatę i koniak, Maszko zaś mówił dalej:

— Pewną liczbę ludzi muszę zarwać — na to niema rady — więc wolę zarwać obojętnych, niż tych, którzy mi oddali jakąś usługę. Są położenia, w których trzeba być oportunistą względem własnego sumienia.

Tu Maszko uśmiechnął się z goryczą:

— Ja sam o tem nie wiedziałem, — mówił dalej — ale teraz otworzyły się przede mną nowe horyzonty. Człowiek uczy się do śmierci. My, bankruci, mamy także pewien punkt honoru. Co do mnie, mniej mi chodzi o takich, którzyby mnie także w danym razie zarwali, niż o blizkich, którym winienem wdzięczność. Jest to może moralność Rinaldiniego, ale swego rodzaju moralność.

Tymczasem służący wniósł herbatę. Maszko, potrzebując się widocznie pokrzepić, dolał do swej filiżanki przez pół koniaku i, ostudziwszy w ten sposób wrzątek, wypił jednym tchem.

Połaniecki zaś rzekł:

— Mój kochany, położenie znasz lepiej ode mnie. Wszystko, co mógłbym ci powiedzieć prze-

cjw ucieczce, a za pozostaniem i za układem z wierzycielami, zapewne powiedziałeś sobie sam; więc wolę się spytać o co innego: Masz ty o co ręce zaczepić? masz ty choć na wyjazd?

— Mam. Czy się bankrutuje na sto tysięcy, czy na sto dziesięć — to wszystko jedno, ale dziękuję ci za pytanie.

Tu Maszko dolał znów koniaku do drugiej filiżanki herbaty — i rzekł:

— Nie myśl, że zaczynam pić z rozpacz, ale od rana dziś nie usiadłem — i jestem ogromnie zmęczony. Ach, jak mi to dobrze zrobiło! Powiem ci teraz otwarcie, że nie dałem jeszcze za wygraną. Widzisz, że nie strzeliłem sobie w łeb. To melodramat, to się już zużyło. Wiem wprawdzie, że tu wszystko dla mnie skończone, ale na tym gruncie i tak nie mógłbym wypłynąć. Tu są po prostu za małe interesa — i nie ma pola. Weź taki zachód, taki Paryż! Ot, tam ludzie robią fortuny, tam przewracają się i podnoszą. Co tu gadać, kiedy to tak jest! Czy ty wiesz, że taki Hirsch nie miał może trzystu franków, wychodząc z kraju? Wiem! wiem! ze stanowiska tutejszej stęchlizny i tutejszego safundulstwa to się wyda marzeniem, gorączką bankruta... A jednak tam gorsi ode mnie robią miliony — gorsi!... Przegram, albo wygram, ale jeśli tu kiedyś wrócę...

I widocznie herbata z koniakiem poczęła go podniecać, bo zacisnąwszy dłonie, dodał:

— Obaczysz!...

Lecz Połaniecki ozwał się z większą jeszcze niż poprzednio niecierpliwością:

— Jeśli to nie są marzenia, to jest przyszłość. A teraz co?

— Teraz — rzekł po chwili Maszko — będą mnie mieli za szuję — nikt zaś nie pomyśli, że są upadki i upadki... Tobie powiem naprzykład, że nie wziął od mojej żony ani jednego podpisu, ani jednego zaręczenia, i że ona będzie miała to wszystko, co miała, nim za mnie wyszła... Wyjeżdżam teraz sam, i póki się nie ustalę, ona zostanie tu z matką. Nie wiem, czyś słyszał, że pani Krasławska straciła wzrok. Nie mogę ich teraz zabierać, bo nie jestem nawet pewny, gdzie będę mieszkał... może w Paryżu, może w Antwerpii... Ale mam nadzieję, że nasze rozłączenie długo nie potrwa... One jeszcze nie wiedzą o niczem... Ot, w czym tkwi dramat, ot, co mnie męczy...

I Maszko położył dłoń na wierzchu głowy, zmrużywszy przytem jakby z bólu oczy.

— Kiedy ty wyjeżdżasz? — spytał Połaniecki.

— Nie wiem, dam ci znać. Tyś mi widocznie chciał ofiarować pomoc — i możesz mi ją dać, chociaż nie pieniężną. Od mojej żony będą

się ludzie z początku odsuwali. Przygarnijcie ją trochę — weź ty ją w opiekę. Zgoda? Tyś był prawdziwie dla mnie życzliwy, a wiem, że i dla niej jesteś życzliwy.

— Dalibóg, można zwaryować! — pomyślał Polaniecki.

Lecz głośno rzekł:

— Zgoda.

— Dziękuję ci z duszy serca. I jeszcze jedna prośba. Ty masz na obie te panie dużo wpływu. One wierzą wszystkiemu, co powiesz. Brońże mnie trochę w pierwszych czasach wobec mojej żony. Wytlómacz jej, że co innego jest nieuczciwość, a co innego nieszczęście. Ja, dalibóg, nie jestem taki lotr, za jakiego mnie ludzie będą mieli. Ot widzisz — mogłem i żonę moją pociągnąć do ruiny, a jednak tego nie uczyniłem; mogłem z ciebie wydobyć jeszcze z jakie parę tysięcy rubli — a jednak wolę tego nie zrobić. Ty jej to wszystko potrafisz przedstawić — i ona ci uwierzy. Zgoda?

— Zgoda — powtórzył Polaniecki.

A Maszko raz jeszcze objął dłońmi głowę i jał powtarzać, że ściągniętą jakby od fizycznego bólu twarzą:

— Oto w czem prawdziwa ruina! ot, co najwięcej boli!

I po chwili począł się żegnać, a przytem po-

nownie dziękować za życzliwość dla żony i przyszłą nad nią opiekę.

Polaniecki wyszedł z nim razem, wsiadł do powozu i ruszył do Buczynka.

Po drodze myślał o Maszce, o jego losach, ale zarazem powtarzał sobie: «Ja także jestem bankrut!» — I była to prawda. Prócz tego, od pewnego czasu dręczył go jakiś ogólny, niewyrozumowany niepokój, z którym nie mógł sobie dać rady. Naokół widział zawody, klęski, ruiny — i nie mógł się oprzeć poczuciu, że to wszystko jest i dla niego jakby jakąś zapowiedzią i groźbą na przyszłość. Dowodził sobie wprawdzie, że podobne obawy nie dadzą się logicznie usprawiedliwić, niemniej jednak obawy nie przestawały mu tkwić gdzieś na dnie duszy. I kiedy indziej mówił znów sobie: «Dlaczego ja jedynie miałbym stanowić wyjątek?» Wówczas serce ścisnęło mu się przeczuciem nieszczęścia. Było to jeszcze gorsze od tych szpilek, które mimowoli wbijali w niego, byle słowem, ludzie nawet najżyczliwsi. Wogóle nerwy jego ucierpiały w ostatnich czasach tak, że stał się prawie przesądny. Codziennie wracał do Buczynka z niepokojem, czy podczas jego niebytności nie stało się w domu co złego.

Tym razem powrócił z powodu Maszki później niż zwykle i zajechał o zupełnym już mroku.

Wysiadłszy przed gankiem na piaszczystej drodze, która tłumila turkot powozu, ujrzał przez okno Marynię, panią Emilię i profesora, siedzących przy stole w pośrodku saloniku. Marynia układała pasyans i widocznie tłómaczyła go pani Emilii, miała bowiem zwróconą ku niej głowę i palec na karcie. Polaniecki na widok jej pomyślał to, co od niejakiego czasu ciągle sobie powtarzał i co napelniało go zarazem i uczuciem szczęścia i jeszcze większej dla siebie goryczy: «To jest najczystsza dusza, jaką w życiu spotkałem!» — I z tą myślą wszedł do pokoju.

— Spóźniłeś się dzisiaj, — rzekła Marynia, gdy przy powitaniu podnosił jej rękę do ust — ale czekamy cię z kolacją.

— Maszko mnie zatrzymał — odpowiedział Polaniecki. — Co tu słychać?

— Jak zawsze. Wszystko dobrze.

— A ty jak się czujesz?

— Jak ryba — odpowiedziała wesolo, podając mu czoło do pocałunku.

Następnie poczęła wypytywać o Zawilowskiego. Polaniecki, po przykrej rozmowie z Maszką, po raz pierwszy odetchnął swobodniej. «Zdrowa jest i wszystko dobrze!» — pomyślał, jakby ze zdziwieniem. I rzeczywiście było mu dobrze w tym jasnym saloniku, w tym ogromnym spo-

koju, wśród życzliwych dusz i obok tej najbliższej istoty, tak dobrej i pewnej. Czuł, że tu było wszystko, czego potrzeba do szczęścia, ale jednocześnie czuł, że on to szczęście dobrowolnie popsuł, że wniósł do czystej atmosfery domowej pierwiastki zepsucia i złego — i że pod takim dachem mieszka bezprawnie.

LX.

W połowie września dni nastaly tak zimne, że państwo Polanieccy przenieśli się z Buczynka do swego miejskiego mieszkania. Polaniecki na przybycie żony odświeżył je i przyozdobił kwiatami. Zdawało mu się wprawdzie, że stracił prawo do kochania jej, ale on stracił tylko dawną swoją względem niej swobodę; natomiast może właśnie wskutek tego stał się z nią daleko bardziej uważnym i uprzedzającym. Prawa do kochania nikt nie daje i nic nie może go odebrać. Inna rzecz, że człowiek w upadku i wobec duszy nierównie szlachetniejszej może nie czuć się jej godnym. Wówczas kocha z pokorą i swego uczucia nie śmie nazwać właściwym mianem. Co Polaniecki stracił rzeczywiście, to swoją pewność siebie, swoją zamaszystość

i swoją dawną bezceremonialność w stosunku z żoną. Teraz były czasem w jego obejściu z nią takie odcienie, jakby ona była jeszcze panną Plawicką, a on niepewnym swego losu pretendentem.

Jednakże ta jego niepewność wyglądała niekiedy na chłód. Ostatecznie stosunek ich, mimo większej uwagi i staranności ze strony Polanieckiego, stał się dalszym, niż był przedtem. «Nie mam prawa!» — oto, co powtarzał sobie Polaniecki przy każdym żywszem poruszeniu serca. I Marynia w końcu spostrzegła, że oni żyją teraz z sobą jakoś inaczej, ale tłumaczyła sobie to rozmaitymi powodami.

Naprzód, w domu byli goście, przy których, bądź co bądź, swoboda pożycia musiała się zmniejszyć. Powtóre, przyszło owo nieszczęście z Zawilowskim, które Polanieckim mogło wstrząsnąć i oderwać jego myśl w inną stronę, a wreszcie Marynia przywykła już do rozmaitych zmian w usposobieniu «Stacha» i przestała przywiązywać do nich tyle znaczenia, ile przywiązywała poprzednio.

Przeszedłszy przez długie godziny smutku i rozmyślań, doszła nakoniec do przekonania, że w pierwszych czasach, póki się pewne nierówności i zagięcia charakterów nie ułożą do jednej wspólnej linii, takie różne zmiany i od-

czenie w pożyciu są rzeczą konieczną, ale przejściową. Dopomógł jej także do wykrycia tej prawdy zdrowy rozsądek pani Bigielowej, która, gdy raz Marynia poczęła podnosić jej doskonały stosunek z mężem, rzekła:

— Ej, nie od razu do tego przyszło. Z początku kochaliśmy się niby to zapalczywiej, ale byliśmy daleko mniej dopasowani; czasem jedno ciągnęło w jedną, a drugie w drugą stronę. Tylko, że oboje mieliśmy uczciwość i dobrą wolę. Pan Bóg to widział i błogosławił. Po pierwszym dziecku wszystko poszło od razu jak najlepiej — i dziś nie oddałabym mojego starego kociska za wszystkie skarby świata, chociaż mi tyje, a jak namawiam na Karlsbad, to nie chce słuchać.

— Po pierwszym dziecku? — spytała z wielkiem zajęciem Marynia. — Aha! zarazbym była zgadła, że to przyszło po pierwszym dziecku.

Pani Bigielowa poczęła się śmiać:

— A jaki on był zabawny, jak nam się pierwszy chłopak urodził! Bo przez pierwsze dni nie mówił nic a nic, tylko podnosił na czoło okulary, przypatrywał mu się, jak jakiemuś zamorskiemu dziwu, a potem szedł do mnie i całował mnie po rękę.

Nadzieja dziecka była także powodem, dla którego Marynia nie brała zbyt do serca tej

nowej zmiany w Stachu. Naprzód obiecywała sobie oczarować go z kretesem — i dzieckiem (o którym była z góry przekonana, że będzie czemś po prostu fenomenalnym) — i swoją po słabości urodą, a powtóre sądziła, że teraz nie wolno jej myśleć o sobie, ani nawet wyłącznie o Stachu. Teraz była zajęta przygotowaniem miejsca dla przyszłego gościa, zarówno w domu, jak w duszy. Czula, że trzeba obwinać taką figurę nie tylko w pieluszki, ale i w miłość. Więc gromadziła odpowiednie zapasy. Mówiła sobie zarazem, że życie we dwoje może być zmienne, ale we troje nie może być czem innym, tylko szczęściem i wypełnieniem się owego oczekiwanego miłosierdzia i łaski bożej.

Wogóle patrzyła w przyszłość nadzwyczaj raźnie. Jeśli wreszcie Połaniecki był dla niej jakiś inny, jakby bardziej etykietalny i jakby dalszy, miewał natomiast takie delikatności, jakich nie okazywał dawniej. Troskę i zmęczenie, które widywała na jego twarzy, przypisywała przywiązaniu do Zawilowskiego, o którego zdrowie nie było już wprawdzie obawy, ale którego nieszczęście sama odczuwała kobiecym sercem, rozumiejąc, że może ono trwać póty, póki i życie. Rozumienie tego dało niejedną chwilę smutku i jej, i Bigielom, i wszystkim, którym Zawilowski stał się blizkim.

Przytem, wkrótce po przybyciu Połanieckich do miasta, nadeszły nagle z Ostendy wiadomości, grożące nowemi na przyszłość powikłaniami. Pewnego poranku Świrski wpadł jak bomba do biura i, wzięwszy Bigiela i Połanieckiego do osobnego pokoju, rzekł im z tajemniczą miną:

— Wiecie co się stało? Był u mnie Kresowski, który wczoraj wrócił z Ostendy. Osnowski rozstał się z żoną i polamał kości Kopowskiemu. Skandal bajeczny! Cała Ostenda nie mówi o niczem innem.

Oni obaj umilkli pod wrażeniem wieści, wreszcie Połaniecki rzekł:

— To prędzej czy później musiało przyjść. Osnowski był ślepy.

— A ja nie nie rozumiem — dodał Bigiel.

— Niesłychana historia! — rzekł Świrski. — Ktoby coś podobnego przypuścił!

— Cóż mówi Kresowski?

— Kresowski opowiada, że Osnowski umówił się raz z jakimiś Anglikami, że pojedzie z nimi do Blackenberga na strzelanie delfinów. Tymczasem spóźnił się na kolej, czy też na tramwaj. Mając przed sobą godzinę czasu, wrócił do domu i zastał u siebie Kopowskiego. Wyobraźcie sobie, co musiał zobaczyć, skoro czło-

wiek tak łagodny uniósł się i stracił głowę do tego stopnia, że, bez pamięci na skandal, wygrzmocił Kopowskiego tak, że Kopowski leży.

— On tak był w żonie zakochany, że mógł nawet oszaleć, lub ją zabić — rzekł Bigiel. — Co za nieszczęście dla człowieka!

— Oto co są kobiety! — zawołał Świrski.

Polaniecki milczał. Bigiel, któremu ogromnie żał było Osnowskiego, począł chodzić po pokoju. Nakoniec stanął przed Świrskim i, wsadzwszy ręce w kieszeń, rzekł:

— A jednak, ja nic nie rozumiem.

Świrski zaś, nie odpowiadając wprost, rzekł, zwróciwszy się do Polanieckiego:

— A pamiętasz pan, co ja o niej w Rzymie mówiłem — wtedy, gdym malował portret pańskiej żony? Stary Zawilowski nazywał Osnowską dzierlatką. Teraz rozumiem, jak to było słuszne; bo dzierlatka ma jeszcze drugą nazwę: «śmiecucha!» Co za kobieta! Wiedziałem, że niewiele warta, ale nie przypuszczałem, żeby mogła pójść tak daleko... I to z takim Kopowskim!... Teraz widzę jaśniej rozmaite rzeczy! Kopowski tam przecie ciągle przesiadywał; niby to starał się o pannę Castelli, potem niby o pannę Ratkowską, a widocznie porozumieli się z panią i wynajdowali na wspólną pozory. Co za wesoly chłopys! Castelka na obiad, a Osnowska

na deser! Takiemu dobrze!... Między temi obiema musiała też być rywalizacya. Jedna przez drugą czyniły ustępstwa, żeby go do siebie pociągnąć. Myślicie, że tam miłość własna kobieca mało znaczyła?

— Masz pan zupełną słuszość — rzekł Polański. — Osnowska była zawsze najprzeciwniejsza małżeństwu Kopowskiego z Castelli i dlatego prawdopodobnie tak gorliwie swatała ją Ignasiowi. Gdy tamci, mimo wszystkiego, potrafili się porozumieć, posunęła się do ostateczności, by Kopowskiego przy sobie zatrzymać. Stosunek ich to stara historia.

— Trochę zaczynam rozumieć — rzekł Bi-giel; — ale jakie to smutne!

— Smutne?... — spytał Świrski. — Przeciwnie! Kopowskiemu było wesoło!... Chociaż — nie! «Mile złego początku, lecz koniec żaloszny!» Niema mu czego zazdrościć. Wiecie wy, że Osnowski mało co słabszy ode mnie, bo on się bał utyć przez kokieterę dla żony i od rana do wieczora uprawiał wszelkie możliwe sporty. Ach, jak on ją kochał! jaki to dobry człowiek — i jak mi go żal! Wszystko ta kobieta w nim miała: serce, majątek, psie przywiązanie — i wszystko podeptała. Taka Castelli nie była przynajmniej jeszcze żoną.

— I oni się naprawdę rozstali?

— Tak dalece naprawdę, że ona już wyje-

chała. Co tam musiło być, skoro taki Osnowski ją opuścił — dalibóg, ciężko myśleć.

Lecz Bigiel, który lubił brać rzeczy ze strony praktycznej, rzekł:

— I ciekawym, co ona zrobi? Bo cały majątek jego.

— Jeśli jej od razu nie zabił, to pewno nie da jej z głodu umrzeć. To nie tego rodzaju człowiek. Kresowski mówił mi, że on został w Ostendzie, i że chce Kopowskiego jeszcze wyzwać. Ale Kopowski z tydzień podobno musi poleżeć. Będzie i pojedynek. Pani Broniczowa z panną Castelli wyjechały także do Paryża.

— A małżeństwo z Kopowskim?

— Jakże pan chcesz? Samo się przez się rozumie, że wobec tak jawnej zdrady oblubienica — zerwane. Zło nie pluży. Osiadły i one na koszu. Ha! Niechże szukają za granicą jakiego księcia Crapulescu, bo po tem, co zrobiły z Ignasiem, tu mógłby taką Castelkę wziąć chyba szuja, albo dureń. Zawilowski przecie do niej nie wróci.

— Ja to samo mówiłem Polanieckiemu — rzekł Bigiel; — a on mi na to odpowiedział: «Kto wie!»

— E? — rzekł Świrski — czy pan naprawdę przypuszczasz?...

— Nie wiem! nie wiem! — odpowiedział

jakby z wybuchem Polaniecki; — za nic nie ręczę, za nikogo nie ręczę i za siebie nie ręczę!

Świrski spojrział na niego z pewnem zdziwieniem.

— Ha, może to i racya! — rzekł po chwili. — Gdyby mi kto był wczoraj powiedział, że Osnowscy kiedykolwiek rozstaną się z sobą, miałbym go za bzik.

I począł się żegnać, bo mu pilno było do roboty, a przytem, chcąc raz jeszcze usłyszeć o katastrofie Osnowskich ze wszelkimi szczegółami, umówił się z Kresowskim na obiad. Bigiel i Polaniecki zostali sami.

— Zło trzeba zawsze przyplacić — rzekł po namyśle Bigiel. — A wiesz, co mnie zastanawia? Oto, jak jednak u nas poziom moralny się obniża. Weź taką Broniczową, taką Castelli, taką Osnowską... Jakie to nieuczciwe, jakie popsute i jakie w dodatku głupie! Jakaś mieszanina lichy wie czego, jakieś pretensye bez granic, a zarazem natury pokojówek! Aż ckliwo myśleć — prawda? I tacy ludzie, jak Ignas, lub Osnowski, płacą za to.

— I tej logiki się nie rozumie — odpowiedział posępnie Polaniecki.

Bigiel począł znów chodzić po pokoju, cmościć i kręcić głową — nagle stanął przed Pola-

nieckim z rozjaśnioną twarzą i, klepiąc go po ramieniu, rzekł:

— No, mój stary! ty i ja możemy sobie powiedzieć, żeśmy na loteryi życia wyciągnęli wielkie losy. Nie byliśmy także święci, ale może Pan Bóg dlatego nam poszczęścił, żeśmy się nie podkopywali po złodziejsku pod cudze domy.

Polaniecki nie odrzekł nic, tylko począł zbierać się do wyjścia.

Tak się już złożyły warunki, że wszystko, co się naokół działo, i wszystko, co naokół sły-
szał, tworzyło jakby piłę, która szarpała jego nerwy. W dodatku miał poczucie, że to nietylko jest okrutnie męczące i bolesne, ale poczyna być i śmieszne. Chwilami przychodziło mu do głowy zabrać Marynię i zakopać się z nią gdzieś na jakiej zapadłej wsi, byle daleko od tej nieznośnej komedyi życia, która zarazem stawała się coraz więcej plugawą. Wiedział jednak, że tego nie zrobi choćby z tej przyczyny, że stoi temu na przeszkodzie stan Maryni. Zerwał wszelako skończone już prawie układy o Buczynek, dlatego, by sobie upatrzeć jakąś dalszą i mniej przystępną letnią siedzibę. Wogóle stosunki z ludźmi poczęły mu ogromnie ciężać, czuł zaś, że jest w wirze i że się z niego nie wydobędzie. Chwilami budził się w nim dawny, pełen energii i trzeźwości człowiek, który pytał sam siebie

ze zdziwieniem: «Co u dyabła! czemu mi taka wina, jakich ludzie dopuszczają się codziennie tysiące, tak narasta bez żadnej miary?» Ale zmysł prawdy odpowiadał mu wówczas, że jak w medycynie nie masz chorób, tylko są chorzy, tak w świecie moralnym nie masz win, tylko są winni. Co jeden łatwo znosi, to drugi przyplaca życiem. I próżno usiłował się osłonić. Wina jego, jako człowieka zasad, jako człowieka, który poślubił za ledwie przed pół rokiem taką kobietę, jak Marynia, jako człowieka, którego wkrótce czekało ojcowstwo, była bez miary — i tak niezem nieusprawiedliwiona, tak niesłychana, że czasem aż zdumiewał się, jak ją mógł spełnić. Teraz, wracając do domu pod wrażeniem nieszczęścia Osnowskiego i obracając je w głowie na wszystkie strony, miał znów poczucie, jakby pewna część odpowiedzialności za to, co się stało, ciążyła i na nim. «Bo ja — mówił sobie — jestem akcyonaryuszem w tej fabryce, która wytwarza takie stosunki i takie kobiety, jak Castelli lub Osnowska.» Poczem przyszło mu do głowy, że Bigiel miał słuszość, mówiąc, iż poziom moralny się obniża — i że nastrój ogólny, który nie wyłącza możliwości podobnych postępów, jest wprost niebezpieczny. Rozumiał bowiem, że to wszystko nie płynęło ani z wyjątkowych nieszczęść, ani z nadzwyczajnych

namiętności, ani ze zbytnej wybujałości natur, ale ze społecznej swawoli, i że imię podobnych zbroczeń jest: legion. «Ot — pomyślał — tylko w kółku moich znajomych jest Maszkowa, jest Osnowska, jest panna Castelli — a przeciw nim kogo postawię? — jedną moją Marynię!» — I w tej chwili przyszło mu na myśl, że obok Maryni jest w jego kółku jeszcze i pani Emilia, i pani Bigielowa, i panna Helena Zawilowska, i panna Ratkowska. Natomiast Marynia przedstawiła mu się na tem tle zepsucia i lekkomyślności tak do tamtych niepodobna, tak czysta i tak pewna, że wzruszył się do głębi duszy na samo jej wspomnienie. «To inny świat, to inny gatunek» — pomyślał. Na chwilę przypomniał sobie, że i Osnowski nazywał swoją żonę wyjątkiem, ale wnet odrzucił precz od siebie tę złą myśl: — «To Osnowski się mylił, a ja się nie myślę.» I uczuł, że sceptycyzm, któryby się nie cofnął przed Marynią, byłby nietylko głupim, ale i nędznym. W niej nie było wprost miejsca na zło. Na błocie siadać może tylko ptactwo błotne. Sam on mówił jej niegdyś żartując, że gdyby nosiła korki, toby ze zgryzoty, że oszukuje świat, dostała zapalenia sumienia. I w tym żarcie była prawda. Widział ją teraz oto przed sobą tak wyraźnie, jak się zawsze widzi osobę, o której się rozmyśla ze skupionem uczuciem,

widział jej zmienioną postać i zmienioną twarz, w której pozostały jednak zawsze te same śliczne, nieco za szerokie usta, i te same przeczyste oczy — i wzruszał się coraz bardziej. «Ja naprawdę wygrałem wielki los na loteryi życia,— myślał — alem nie umiał tego szczęścia ocenić.» — «Zło trzeba zawsze przyplacić» — mówił Bigiel. I Połaniecki, któremu nieraz już przychodziła podobna myśl, uczuł teraz przed nią zabobonny strach. Jest — myślał — jakaś logika, z mocy której zło, jak fala odbita od brzegu, wraca się, musi więc wrócić i moje. I nagle wydało mu się zupełnem niepodobieństwem, żeby on mógł posiadać spokojnie taką kobietę i takie szczęście. Nie byłoby w tem właśnie tej logiki, która nakazuje wracać się fali złego. A zatem co? Zatem Marynia może naprzykład umrzeć przy słabości. Pani Maszkowa może przez zemstę nad nim powiedzieć jakieś słowo, które utkwi w Maryni — a wobec jej stanu wyjdzie potem pod postacią gorączki. Nie potrzeba nawet na to całej prawdy. Owszem, pani Maszkowa może się przytem nawet pochwalić, że oparła się jego zamachom, a kto wie — mówił sobie Połaniecki — czy w tej chwili Maszkowa nie jest z wizytą u Maryni, a w takim razie pierwsza lepsza rozmowa o mężczyznach — i kilka żartobliwych słów — wystarczy...

Tak rozmyślając, czuł, że mu czapka gore na głowie, i przyszedł do domu z uczuciem trwogi. Ale w domu nie zastał pani Maszkowej, natomiast Marynia oddała mu kartkę od panny Heleny Zawilowskiej, prosząca, by po obiedzie przyszedł do niej.

— Boję się, czy panu Ignasiowi nie jest gorzej — rzekła Marynia.

— Nie. Ja tam wpadłem na minutę rano. Panna Helena była na jakiejś konferencji z prawnikiem Kononowiczem, ale widziałem i pannę Ratkowską i Zawilowskiego. Miał się zupełnie dobrze i rozmawiał ze mną prawie wesoło.

Przy obiedzie Polaniecki postanowił powiedzieć Maryni o nowinach, które słyszał, wiedział bowiem, że i tak nie ukryją się przed nią, a nie chciał, by doniesiono jej o nich zbyt nagle i nieostrożnie.

Więc gdy spytała go, co słyhać w biurze i na mieście — odrzekł:

— W biurze nic nowego, a na mieście mówią o jakichś nieporozumieniach między Osnowskimi.

— Między Osnowskimi?

— Tak. Coś tam zaszło w Ostendzie. Podobno powodem wszystkiego jest Kopowski.

Marynia zaczerwieniła się i rzekła:

— Co też ty Stachu mówisz?

— Mówię, co słyszałem. Pamiętasz moje uwagi na wieczorze zaręczynowym Zawilowskiego? Pokazuje się, że miałem słusność! Krótko ci powiem, że była jakaś awantura i że wogóle jest źle.

— Ale przecie mówileś, że Kopowski jest narzeczonym panny Castelli?

— Jest, albo przestał nim być. Tam się mogło wszystko pozrywać.

Na Maryni wiadomość sprawiła wielkie wrażenie. Chciała jeszcze dopytywać, ale gdy Polaniecki powiedział jej, że nic więcej nie wie, i że prawdopodobnie dopiero za kilka dni nadejdą dokładniejsze wieści, poczęła biadać nad dolą Osnowskiego, którego zawsze bardzo lubiła, i oburzać się na panią Anetę.

— Ja myślałam, — mówiła — że on ją przejedna i pociągnie swoim przywiązaniem, ale ona jego nie warta, i pan Świrski ma słusność w tem, co o kobietach mówi.

Lecz dalszą rozmowę przerwał pan Pławicki, który po wczesnym restauracyjnym obiedzie przyszedł, by powiedzieć «wielką nowinę», o której także już słyszał, bo mówiło o niej całe miasto. Polaniecki pomyślał teraz, że dobrze zrobił, przygotowawszy do niej żonę, albowiem już w opowiadaniu pana Pławickiego rzecz przybrała barwy nader jaskrawe. Pan Pławicki

wspominal wprawdzie w ciągu opowiadania o zasadach i o «dawnych matronach», widocznie był jednak zadowolony, że zdarzyło się coś tak budzącego zajęcie — i widocznie brał także rzecz ze strony komicznej, bo w końcu rzekł:

— No! ale to rezolutna kobietka! to figlarka! Co na placu, to nieprzyjacieli! Nikomu nie przepuściła, nikomu, nikomu!... Biedny Osnosio, ale ona nikomu nie przepuściła!

Tu podniósł do góry brwi, a potem spojrział na Marynię i Połanieckiego, jakby chcąc sprawdzić, czy pojęli, co miało znaczyć «nikomu». Ale na twarzy Maryni odbił się niesmak.

— Fe! Stachu — rzekła — jakie to wszystko nietylko niegodziwe, ale brzydkie.

LXI.

Po obiedzie Połaniecki udał się do panny Heleny. Zawilowski nosił jeszcze na czole czarną przepaskę, z szerszym w pośrodku plastrem, zakrywającym ranę, zacinał się i, patrząc, nieco zezował, ale wogóle przychodził coraz bardziej do siebie i uważał się już za zdrowego, lekarz zaś zapewniał, że i te objawy, jakie jeszcze pozostały wskutek rany, miną bez śladu. W chwili,

gdy Połaniecki wszedł, młody człowiek siedział przy stole, w głębokim fotelu, w którym niegdyś siadywał stary pan Zawilowski, i słuchał z przymkniętymi oczyma wierszy, które mu czytała panna Ratkowska.

Lecz ona na widok gościa złożyła książkę.

— Dobry wieczór pani! — rzekł Połaniecki. — Jak się masz, Ignasiu? Widzę, że przerwałem czytanie. W czym państwo się tak zaczytujecie?

Panna Ratkowska zwróciła ku książce swą krótko ostrzyżoną głowę (miała dawniej przepyszne włosy, ale ostrzygła je, by jej nie zabierały czasu, potrzebnego przy chorym) i odrzekła:

— To są wiersze pana Zawilowskiego.

— Swoich własnych wierszy słuchasz? — rzekł, śmiejąc się, Połaniecki. — No, i jak ci się podobają?

A Zawilowski odrzekł:

— Słucham, jak nie swoich.

Po chwili zaś dodał, mówiąc zwolna i trochę się zacinając:

— Ale ja znów będę pisał, tylko całkiem przyjdę do siebie...

I widać było, że ta myśl bardzo go zajmuje, i że nieraz musiał już o tem mówić, bo panna Ratkowska rzekła, jakby mu chcąc dodać otuchy:

— I takie same śliczne, i już niezadługo.

A on uśmiechnął się do niej z wdzięcznością — i umilkł.

Lecz w tej chwili weszła do pokoju panna Helena i, uściskawszy rękę Polanieckiego, rzekła:

— Jak to dobrze, że pan przyszedł; chciałam się pana poradzić...

— Służę pani.

— Nie. Proszę pana do siebie.

I przeprowadziwszy go do drugiego pokoju, wskazała krzesło, poczem siadłszy naprzeciw, milczała, jakby zbierając myśli.

Polaniecki, patrząc na nią pod światło, pierwszy raz dostrzegł kilka srebrnych nitok w jej jasnych włosach — i pomyślał, że ta kobieta nie ma jeszcze trzydziestu lat.

Ona zaś zaczęła mówić swoim głosem zimnym i stanowczym:

— To właściwie nie jest prośba o radę, ale o pomoc dla mego krewnego. Wiem, że pan jest jego prawdziwym przyjacielem, a przytem i mnie okazał pan tyle serca przy śmierci ojca, że na resztę życia zachowam wdzięczność, a teraz będę mówiła z panem otwarciej, niżbym mówiła z kim innym... Z powodów osobistych, których nie chcę dotykać, a o których mogę panu tylko powiedzieć, że są bardzo bolesne, postanowiłam stworzyć sobie inne warunki ży-

cia, dla mnie znośniejsze. Byłabym to zrobiła dawniej, ale póki ojciec żył — nie mogłam. Potem przyszło to nieszczęście! Zdawało mi się, że moim obowiązkiem jest nie opuszczać ostatniego krewnego, noszącego nasze nazwisko, dla którego przytem miałam szczerą i serdeczną przyjaźń. Ale teraz on, Bogu dzięki, uratowany. Lekarze odpowiadają za jego życie, i jeśli Bóg dał mu wyjątkowe zdolności i przeznaczył go do wielkich rzeczy, nic nie staje na przeszkodzie jego przeznaczeniu.

Tu przerwała, jakby zamyśliwszy się nagle nad czemś przyszłym, poczem, zbudziwszy się, mówiła dalej:

— Ale tem samem moje ostatnie zadanie skończone, i wolno mi wrócić do poprzednich zamiarów. Pozostaje tylko majątek, który mój ojciec pozostawił znaczny, a który mi jest do mojego przyszłego życia zupełnie niepotrzebny. Gdybym mogła uważać go za swoją osobistą własność, rozporządziłabym nim może inaczej; ponieważ jednak jest to majątek rodzinny, uważam, że nie mam prawa przekazywać go na inne cele, póki żyje ktoś z rodziny, noszący to samo nazwisko. Nie ukrywam panu, że powoduje mną i przywiązanie do mego kuzyna; sądzę jednak, że przedewszystkiem robię to, co mi sumienie nakazuje, a przytem spełniam wolę

ojca, który jej spisać nie zdążył, ale który (wiem ze wszelką pewnością) część majątku chciał Ignasiowi zostawić. Ja wyposażam siebie sama, nie w tym stopniu, jak ojciec myślał, ale biorę jednak więcej, niż mi potrzeba. Resztę niech dziedziczy Ignas. Akt darowizny spisał już, według wszelkich przepisów prawnych, pan Kononowicz. Obejmuje on ten dom, Jaśmień, majątek w Kutnowskim, majątki poznańskie i kapitały, z wyjątkiem tej części, którą sama siebie wyposażam, i jakiejś części, którą przeznaczam dla panny Ratkowskiej. Chodzi tylko o to, by ów akt Ignasiowi wręczyć. Pytałam dwóch lekarzy, czy to nie jest za wcześnie i czy wstrząśnienie nie mogłoby mu zaszkodzić. Zaręczają mi, że nie, i wszelka pomyślna nowina może tylko pomyślnie wpłynąć na jego zdrowie, co jeśli tak jest, chcę to zaraz uczynić, bo mi pilno.

Tu uśmiechnęła się blado. Połaniecki zaś, uściskawszy jej rękę, spytał z nieklamanem wzruszeniem:

— Droga pani, ja nie przez ciekawość pytam: co pani zamierza?

Ona zaś, nie chcąc widocznie odpowiedzieć wprost, rzekła:

— Człowiek ma zawsze prawo schronić się pod opiekę boską. Co do Ignasia, on ma poczciwe serce i szlachetny charakter, który się nie

popsuje majątkiem; ale to majątek jest bardzo znaczny, a on jest młody, niedoświadczony, zacznie życie w zupełnie zmienionych warunkach, więc chciałam pana, jako zacnego człowieka i jako jego przyjaciela, prosić o opiekę nad nim. Niech go pan strzeże, niech go pan ochrania przed złymi ludźmi, ale przedewszystkiem niech mu pan przypomina, że obowiązkiem jego jest pisać i pracować dalej. Mnie chodziło nietylko o uratowanie jego życia, ale i o uratowanie jego zdolności. Niech pisze, niech się wypłaci społeczeństwu nietylko za siebie, ale i za tych, których Bóg stworzył na chwałę i pomoc ludziom, a którzy zgubili i siebie i swoje zdolności.

Tu nagle wargi jej pobladły, ręce zaciśnęły się i głos uwiązał w gardle. Zdawać się mogło, że nagromadzona w tej duszy rozpacz zerwie naraz wszystkie tamy; po chwili opanowała się jednak, i tylko zaciśnięte ręce świadczyły, z jakim jej to przyszło wysileniem.

Połaniecki, widząc jej mękę, sądził, że w tym razie najlepiej będzie zwrócić jej myśl w inną stronę, do rzeczy praktycznych i bieżących, dlatego też rzekł:

— Oczywiście, będzie to niesłychana zmiana w życiu Ignasia; spodziewam się jednak i ja, że mu wyjdzie tylko na dobre... Znając go,

trudno przypuścić inaczej. Czyby jednak pani nie mogła odłożyć tej darowizny na rok, lub przynajmniej pół roku?

— Dlaczego?

— Dla przyczyn, które nie leżą w samym Ignasiu, ale które mogą mieć z nim związek. Nie wiem, czy doszła panią wiadomość, że małżeństwo panny Castelli z Kopowskim jest zerwane, i że położenie tych pań jest wskutek tego ogromnie przykre. Przez zerwanie z Ignasiem oburzyły na siebie opinię, a teraz znów nazwiska ich są na językach ludzkich. Byłoby dla nich doskonałem wyjściem wrócić do Ignasia — i można przypuścić, że, dowiedziawszy się o darowiznie pani, będą z pewnością usiłowały to uczynić, a Ignas, zwłaszcza po tak krótkim czasie i tak osłabiony, jak zawsze jest — niewiadomo, czy nie da się pociągnąć...

Panna Helena patrzała na Polanieckiego ze ściągniętymi z natężenia uwagi brwiami, poczem, zastanowiwszy się nad tem, co powiedział, odrzekła:

— Nie. Ja sędzę, że Ignas wybierze inaczej.

— Odgaduję pani myśl, ale niech pani pomyśli, że on do tamtej był przywiązany nad wszelką miarę, tak, że nie chciał przeżyć jej straty.

I tu stało się coś, czego Polaniecki nie spo-

dziewał się, albowiem panna Helena, tak władająca sobą i niemal surowa, rozłożyła bezradnie swoje wychudłe ręce i rzekła:

— Ha! gdyby tak było... gdyby dla niego nie było innego szczęścia, tylko w niej... Och, panie, ja przecie wiem, że on nie powinien tego uczynić, ale są rzeczy od człowieka mocniejsze, i są takie, których koniecznie do życia potrzeba, a przytem...

Polaniecki spoglądał na nią ze zdziwieniem, ona zaś po chwili dodała:

— Przytem człowiek zawsze może wstąpić na lepszą drogę — póki żyje.

— Nie przypuszczałem, że coś podobnego od niej usłyszę — pomyślał Polaniecki.

I głośno rzekł:

— W takim razie pójdźmy do Ignasia.

Zawilowski przyjął wiadomość naprzód ze zdumieniem, a potem z radością, ale była to radość, jakby tylko zewnętrzna. Można było przypuścić, że za pomocą mózgu rozumie, że spotyka go coś ogromnie pomyślnego, i mówi sobie, że trzeba się z tego cieszyć, ale tego sercem nie odczuwa. Serce to objawiło się tylko w trosce i zajęciu, z jakimi począł się wypytywać panny Heleny, co ona zamierza i co się z nią stanie. Panna Helena nie chciała mu odpowiedzieć i, wspomniawszy ogólnikowo, że za-

mierza usunąć się od życia i że postanowienie jej jest niezachwiane, zaklinała go o to, o co widocznie najwięcej jej chodziło, to jest, żeby nie zgubił swych zdolności i nie zawiódł przywiązanych do siebie ludzi. Mówiła do niego, jak matka, on zaś, powtarzając: «Będę znów pisał, tylko całkiem przyjdę do siebie» — całował jej ręce i miał łzy w oczach. Niewiadomo jednak było, czy były to łzy współczucia dla niej, czy żal dziecka, które opuszcza dobra i słodka opiekunka; albowiem panna Helena powiedziała mu, że od tej chwili uważa się za jego gościa w tym domu i że za dwa dni zamyśla się usunąć.

Zawilowski nie chciał się jednak na to zgodzić i wymógł na niej, że zostanie jeszcze przez tydzień, na co wreszcie przystała z obawy, by go nie drażnić i nie zaszkodzić jego zdrowiu. Wówczas, uspokoivszy się, wpadł w wesołość małego chłopca, którego prośbie uczyniono za-
dość. W końcu wieczora zamyślił się jednak, jakby coś sobie przypominając, poczem powiódłszy zdziwionemi oczyma po obecnych, rzekł:

— Dziwna rzecz, ale tak mi się zdaje, jakby to wszystko już niegdyś się zdarzyło.

Polaniecki zaś, chcąc wprowadzić *weselszy ton do rozmowy, spytał, śmiejąc się:

— Za poprzednich istnień, na innych planetach? Prawda?

— Tak, to już wszystko niegdyś było — powtórzył Zawilowski.

— I te same wiersze już pisałeś — na księźcu?...

On zaś podniósł leżącą na stole książkę, popatrzał na nią, zamyślił się — i w końcu rzekł:

— Ja znów będę pisał — tylko całkiem przyjdę do siebie.

Połaniecki pożegnał się i wyszedł. Tegoż jeszcze wieczoru panna Ratkowska przeniosła się do swojego pokoiku u pani Mielnickiej.

LXII,

Rozejście się Osnowskich, którzy w życiu towarzyskiem zajmowali dość wybitne stanowisko, i wielka fortuna, która nagle spadła na Zawilowskiego, były to najważniejsze nowiny, któremi zajmowało się całe miasto. Ludzie, którzy przypuszczali, że panna Helena wzięła do siebie młodego krewnego dlatego, by się za niego wydać, osłupieli z podziwu. Powstały nowe plotki i przypuszczenia: poczęto szeptać sobie do uszu, iż Zawilowski był synem starego bogacza i że zagroził siostrze procesem o ukrycie testamentu, która też wolała zrzec się wszystkiego i wyje-

chać za granicę, niż narazić się na skandaliczny proces. Inni wszelako twierdzili, że powodem jej wyjazdu była panna Ratkowska, i że między temi paniami działy się niesłychane i oburzające rzeczy, wskutek których szanujące się domy nie puszczają przez próg panny Ratkowskiej. Byli wreszcie i tacy, którzy, występując w imię publicznego dobra, odmawiali wprost pannie Helenie prawa do rozporządzania w ten sposób majątkiem, dając przytem do zrozumienia, że sami, w danym razie, rozporządziliby nim inaczej i zgodniej z pożytkiem powszechności.

Słowem, mówiono wszystko, na co się może zdobyć plotkarstwo, wścibstwo, lekkomyślność i niecna złośliwość. Wkrótce atoli ciekawości ogólnej przybył nowy pokarm pod postacią wieści o pojedynku Osnowskiego z Kopowskim, w którym Osnowski został ranny. Kopowski wrócił też niebawem do miasta ze sławą bohatera nadzwyczajnych przygód miłosnych i orężnych — glupszy niż kiedykolwiek, ale zarazem piękniejszy niż kiedykolwiek i wogóle tak uroczy, że na sam jego widok młodsze i starsze serca poczynały bić przyspieszonym tętnem.

Osnowski, raniony dość lekko, leczył się w Brukseli. Świrski otrzymał od niego krótką wiadomość wkrótce po pojedynku, że ma się do-

brze, że w połowie zimy wybiera się do Egiptu, ale że przedtem wróci do Przytulowa. Z wiadomością tą przyszedł do Polanieckiego, wyrażając przytem obawę, czy Osnowski nie powróci tylko dlatego, by znów poszukiwać swej krzywdy na Kopowskim.

— Bo tego jestem pewny, — rzekł — że jeśli on został ranny, to dlatego, że na to pozwolił. Podług mnie, on chciał po prostu zginąć. Ja się z nim nastrzelałem niemało u Brufiniego i wiem, jak on strzela. Widziałem go, jak zbijał zapalki — i jestem przekonany, że gdyby był chciał Kopusia zdmuchnąć, to tylebyśmy go dziś widzieli.

— Być może, — odpowiedział Polaniecki — ale skoro mówi o podróży do Egiptu, to widocznie nie ma zamiaru dać się zabić. Owszem, niech jedzie i niech zabierze z sobą Zawilowskiego.

— Prawda, że i Zawilowski powinien trochę świata zobaczyć. Chciałbym stąd do niego zajrzeć. Jak on się ma?

— Pójdę razem z panem, bom go dziś nie widział. On się dobrze ma, ale jest jakiś dziwny. Pamiętasz pan, jaka to była harda i zamknięta w sobie dusza? Otóż teraz niby zdrów, ale zrobiło się z niego małe dziecko: przy najmniejszej przykrości lzy ma w oczach.

Po chwili wyszli razem. Po drodze Świrski spytał:

— Panna Helena jest jeszcze przy Zawilowskim?...

— Jest. On tak do serca bierze jej odjazd, że jej go żal. Miała wyjechać za tydzień, a teraz, jak pan widzisz, minął już i drugi.

— Co ona właściwie chce z sobą zrobić?

— Nikomu wyraźnie nie mówi. Prawdopodobnie wstąpi do jakiego zakonu i będzie się całe życie modliła za Płoszowskiego.

— A panna Ratkowska?

— Panna Ratkowska jest u pani Mielnickiej.

— Czy bardzo Zawilek po niej tęskni?

— Przez pierwsze dni. Potem jakby zapomniał.

— Jeśli w ciągu roku nie ożeni się z nią, to ja powtarzam swoje oświadczenie. Jak Boga kocham! Taka kobieta, jak raz zostanie żoną, to się do człowieka przywiąże.

— Wiem, że panna Helena w duszyby sobie tego życzyła, żeby on się z Ratkowską ożenił. Ale kto wie, jak się to obróci?

— E! jestem pewny, że się ożeni, a to, co ja mówię, to są marzenia głowy ściętej. Ja się już nie ożenię.

— Żona mi wspominała, że jej to pan wczoraj mówił; ale ona się śmiała z tej groźby.

— To nie groźba, tylko, że nie mam szczęścia.

Dalszą rozmowę przerwał im widok powozu, w którym siedziała pani Krasławska z panią Maszkową. Jechały w kierunku alei, chcąc widocznie zażyć powietrza. Dzień był jasny, ale chłodny — i pani Maszkowa tak była zajęta naciąganiem na matkę ciepłego płaszczyka, że nie spostrzegła ich i nie oddała im ukłonu.

— Byłem u nich onegdaj — rzekł Świrski; — to dobra kobiecina!

— Słyszę, że jest bardzo dobrą córką — odpowiedział Połaniecki.

— To to i ja spostrzegłem, będąc u nich, ale — jak to zwykle staremu sceptykowi — zaraz mi przyszło do głowy, że ona znajduje zarazem upodobanie w roli troskliwej córki. Czyś pan nie zauważył, że kobiety częstokroć robią coś dobrego dlatego, że myślą, iż im z tem ładnie?

I Świrski nie mylił się. Pani Maszkowa znalazła istotnie upodobanie w roli poświęcającej się córki, ale było to już bardzo wiele, bo takie upodobanie wypłynęło jednak z rzeczywistego jej przywiązania do matki i z tego, że na widok jej nieszczęścia coś w niej zbudziło się i zadrgało. Przytem Świrski nie chciał, czy nie umiał uczynić ze swej myśli tego dalszego wywodu, że jak w zakresie toalety kobieta do nowego kapelusza potrzebuje nowego okrycia, no-

wej sukni i nowych rękawiczek, tak i w zakresie dobra, raz coś posiadłszy, lubi być także od stóp do głowy na nowo odziana. W ten sposób odrodzenie się kobiety nie jest nigdy zupełnie niemożliwym.

Ale tymczasem doszli do Zawilowskiego, który przyjął ich z radością, albowiem od niejakiego czasu, jak zwykle powracającym do życia chorym, widok ludzi czynił mu przyjemność. Dowiedziawszy się od Świrskiego, że ten jedzie wkrótce do Włoch, począł się napierać, by go z sobą zabrał.

— Aha! — pomyślał Świrski — więc ci jakoś panna Ratkowska nie w głowie?

Zawilowski począł dowodzić, że od dawna marzył o Włoszech i że czuje, iż nigdzieby mu się tak nie pisało, jak tam, pod temi wrażeniami sztuki i tych wieków, rozsypujących się w ruiny, obwinięte w bluszcz. Śmiał się do tej myśli i unosił, więc poczciwy Świrski zgodził się bez trudności.

— Ale — rzekł — ja teraz tam długo nie zabawię, bo mam tu do roboty kilka portretów, a przytem obiecałem panu Połanieckiemu wrócić na chrzciny.

Poczem zwrócił się do Połanieckiego:

— No, cóż nareszcie: na chrzciny syna, czy córki?

A Połaniecki odrzekł:

— Niech już będzie co chce, byle Bóg dał szczęśliwie.

I gdy tamci poczęli układać plan podróży, pożegnał się i poszedł do biura. Miał do przejścia całą pocztę z dnia zeszłego, więc zamknawszy się w swym gabinecie, począł czytać listy i zapisywać do skorowidza te, które dotyczyły spraw, wymagających natychmiastowego załatwienia. Po niejakiem jednak czasie przebrał mu robotę świeżo przyjęty do biura woźny, który, wszedłszy, oświadczył, że jakaś pani chce się z nim widzieć.

Połaniecki zaniepokoił się. Przyszło mu niewiadomo dlaczego na myśl, że to nie może być kto inny, tylko pani Maszkowa. I w przewidywaniu jakichś wyjaśnień i scen, serce poczęło mu bić niespokojnie.

Tymczasem we drzwiach ukazała mu się najniespodziewaniej uśmiechnięta, wesola twarz Maryni.

— A co? zrobiłam ci niespodziankę? — rzekła.

Połaniecki zerwał się na jej widok z uczuciem nagłej i ogromnej radości i, chwyciwszy jej rękę, począł je kolejno całować.

— A moja droga! To rzeczywiście niespodzianka! — rzekł. — Skądże ci przyszło do głowy tu zajrzeć?

I tak mówiąc, począł przysuwać jej fotel i usadzać ją, jak milego, a zarazem znakomitego gościa. Z rozpromienionej jego twarzy widać było, jaką jej obecność czyni mu przyjemność.

— Mam ci coś ciekawego do pokazania, — rzekła Marynia — a że trzeba mi i tak dużo chodzić, więc tu zaszłam. A ty co myślałeś? że to kto? przyznaj mi się zaraz!

To rzekłszy, poczęła mu przegrażać, śmiejąc się, on zaś odrzekł:

— Tu się tyle interesów załatwia. W każdym razie nie myślałem, że to ty. Co masz mi do pokazania?

— Patrz, jaki list odebrałam.

Polaniecki wziął list i począł czytać:

«Droga i kochana pani! Zdziwi to może panią, że się do niej udaję, ale pani, która masz zostać wkrótce matką, jedna na świecie zrozumiesz, co musi się dziać w sercu matki (choćby była tylko ciotką), która widzi nieszczęście swego dziecka. Niech mi pani wierzy, że nie chodzi mi o nic innego, tylko o przyniesienie chwilowej chociaż ulgi nieszczęśliwemu dziecku, a chodzi mi o to tembardziej, że w tem wszystkim, co się stało, ja sama głównie zawiniłam. Może i te słowa panią zdziwią, ale tak jest! Ja zawiniłam, bo że zły i zepsuty człowiek, w chwili,

gdy Niteczce zrobiło się źle i gdy straciła przytomność, ośmielił się dotknąć jej swojemi niegodziwemi ustami, to nie powinnam była z tego powodu głowy tracić i z dziecka czynić ofiary. Winien wprawdzie i Józio Osnowski, który kwestyę małżeństwa postawił na ostrzu noża — i, jeśli, podejrzewając już coś, chciał w ten sposób pozbyć się z domu Kopowskiego, to niech mu to Bóg przebaczy, bo nie godzi się bronić siebie kosztem cudzego szczęścia i życia. Ach, pani! mnie w pierwszej chwili także się zdawało, że jedynem wyjściem jest małżeństwo z tym niegodziwcem, i że Niteczka nie ma już prawa zostać żoną Ignasia. Pisałam nawet umyślnie do niego, że ona poszła za popędem serca i że oddaje tamtemu rękę z przywiązania, bo myślałam, że w ten sposób Ignas przeniesie łatwiej jej stratę, i chciałam zmniejszyć jego boleść... Niteczka dla Kopowskiego! Bóg miłościwy tego nie dopuścił, a gdy i ja spostrzegłam, że byłoby to śmiercią dla Niteczki, obie myślałyśmy już tylko o tem, jak się uwolnić z tych więzów. Dziś nie chodzi też już o powrót do dawnych stosunków, bo i Niteczka tak straciła wiarę w ludzi i życie, że prawdopodobnie nigdyby się na to nie chciała zgodzić. Ona nawet nie wie, że piszę ten list. Gdyby kochana pani widziała, jak ona przyplaciła to wszystko

zdrowiem i jak okropnie odczuła postępek pana Zawilowskiego, miałaby pani nad nią litość. On nie powinien był tego robić, choćby ze względu na nią; niestety! — mężczyźni, jak prawdziwi egoiści, w takich razach liczą się tylko z własną wolą. Ona tyle w tem wszystkiem winna, ile nowonarodzone dziecko, ale ja patrzę na to, jak mi niknie w oczach i jak od rana do wieczora gryzie się tem, że stała się mimowolną przyczyną jego nieszczęścia i że mu mogła złamać życie. Wczoraj ze łzami w oczach prosiła mnie, bym, w razie jej śmierci, była matką dla Ignasia i opiekowała się nim, jak własnym synem. Codziennie mówi o tem, że on musi ją przeklinać, a mnie serce pęka, bo doktor powiedział, że za nic nie ręczy, jeśli taki stan potrwa. Bóg miłosierny! Ale niech i pani przyjdzie z pomocą rozpaczy matki: niech pani chociaż od czasu do czasu doniesie mi coś o Ignasiu, a raczej, niech pani napisze mi, że jest zdrow, spokojny, że o niej zapomniał i że jej nie przeklina, że-bym mogła pokazać jej ten list i przynieść choć trochę ulgi w cierpieniu. Ja czuję, że piszę nawpół przytomnie, ale pani zrozumie, co się we mnie dzieje, gdy patrzę na tę nieszczęśliwą ofiarę. Bóg to pani wynagrodzi, a ja się będę codziennie modliła, aby córka pani, jeśli Bóg da wam córkę, była szczęśliwsza od mojej biednej Niteczki».

— Cóż ty o tem myślisz? — spytała Marynia.

— Ja myślę, — rzekł Polaniecki — że wieść o zmianach w losie Zawilowskiego rozeszła się dostatecznie szeroko, a powtóre, myślę, iż ten list, przesłany pod twoim adresem, przeznaczony jest rzeczywiście dla Ignasia.

— To być może. To nie jest szczery list. Ale one jednak mogą być bardzo nieszczęśliwe.

— Pewno, że nie musi im być wesoło. Osnowski miał słuszość, pisząc, że w tem wszystkim jest jeszcze i dla Broniczowej ogromny zawód, i że ona napróżno chce samą siebie oszukać. A co do panny Castelli, wiesz, co mi powiedział Świrski? Nie powtórzę ci jego dosadnych słów, ale powiedział, że teraz może ją wziąć chyba albo głupiec, albo człowiek bez moralnej wartości. One same to rozumieją i pewno, że im niewesoło. Być może, że i sumienie się odzywa, ale patrz jednak, ile w tym liście wykrętów. Nie pokazuj go Ignasiowi.

— Nie. Nie pokażę — odpowiedziała Marynia, której najgorętsze życzenia były po stronie panny Ratkowskiej.

A Polaniecki, idąc za myślą, która go nurtowała od dawna, powtórzył jej niemal dosłownie to, co powtarzał sobie samemu:

— Jest jakaś logika, która karze, i one zbierają to, co posiały. Zło, jak fala, odbija się od brzegu i wraca.

Na to Marynia poczęła kreślić parasolką figury po podłodze, jakby się nad czemś namyślając, potem zaś, podniósłszy na męża swoje jasne oczy, rzekła:

— Prawda, mój Stachu, że zło wraca, ale może także wrócić jako zgryzota i jako żal, a wówczas Pan Bóg poprzestaje na takiej pokucie i więcej nie karze.

Gdyby Marynia, wiedząc nawet, co mu dolega, chciała zlagodzić jego udręczenia i dodać mu otuchy, nie potrafiłaby wynaleźć nic lepszego nad tych kilka prostych słów. Polaniecki żył od niejakiego czasu pod przecuciem, że musi go spotkać jakieś nieszczęście, i pod ustawicznym przed nim strachem. Dopiero od niej dowiedział się, że ową powracającą falą może być sama jego zgryzota i żal. Tak! nagryzł się niemal i żalu w nim nie brakło, a czuł również, że gdyby to mogło być zadośćuczynieniem, byłby gotów przecierpieć jeszcze dwakroć mocniej. Tymczasem brała go ochota porwać w ramiona tę pełną prostoty i prawości kobietę, od której płynęło na niego tylko dobro — i jeśli tego nie uczynił, to jedynie z obawy wzruszeń dla niej, ze względu na jej stan i ową niesmiałość,

która go w stosunku do niej krępowała. Natomiast podniósł do ust jej rękę i rzekł:

— Ty masz słuszość — i jesteś bardzo dobra.

A ona, rada z pochwały, uśmiechnęła się do niego i poczęła zbierać się do domu.

Gdy wyszła, Połaniecki zbliżył się do okna i odprowadzał ją oczyma. Z daleka widział jej przegiętą postać, posuwającą się ociężałym krokiem, oraz ciemne włosy, wyglądające z pod kapelusza — i w tej chwili odczuł z nową, większą niż kiedykolwiek siłą, że to jest jego najdroższa w świecie istota — i że ją jedną kocha i będzie kochał do śmierci.

LXIII.

We dwa dni później Połaniecki odebrał od Maszki kartkę, zawierającą parę słów pożegnania. «Wyjeżdżam dziś — pisał Maszko. — Będę się starał koniecznie jeszcze wpaść do ciebie, ale na wszelki wypadek żegnam cię i dziękuję ci za wszystkie dowody przyjaźni, jakie mi okazałeś. Niech ci Bóg szczęści lepiej, niż mnie dotąd szczęścił. Bardzobym chciał zobaczyć się z tobą choć na minutę — i jeśli będę mógł, wpadnę do ciebie koło czwartej do biura. Tym-

czasem powtarzam prośbę, byście pamiętali o mojej żonie i przygarnęli ją trochę, gdy ludzie ją opuszczą. Ciebie proszę również, byś mnie przed nią bronil przeciw ludzkim językom. Wyjeżdżam do Berlina — o dziewiątej w wieczór — i zupełnie otwarcie. Do widzenia, a w każdym razie bądź zdrow — i raz jeszcze dzięki za wszystko. — Maszko».

Połaniecki poszedł koło czwartej do biura, ale przeszło godzinę czekał napróżno. — «Nie przyjdzie — pomyślał wreszcie; — tem lepiej!» I poszedł do domu z poczuciem pewnego zadowolenia, że udało mu się uniknąć kłopotliwego spotkania. Wieczorem jednak poczęło się w nim budzić pewne politowanie dla Maszki. Pomyślał, że to jest człowiek, który wprawdzie szedł złą i gorączkową drogą, ale się namęczył i naszarpał, a w końcu ciężko przyplacił — że to wszystko, co się stało, było dawno do przewidzenia, jeżeli zatem ci, którzy to przewidywali, żyli z nim i przyjmowali go u siebie, nie powinni teraz okazywać mu pogardy w chwili upadku. Rozumiał też, ile Maszce sprawi przyjemności swoim przybyciem na kolej — i po chwili wahania — poszedł.

Po drodze przypomniał sobie, że prawdopodobnie znajdzie na dworcu i panią Maszkową, lecz wiedział, że i tak musi ją spotykać, a są-

dział, że cofnąć się z tego powodu byłoby jakimś marnem tchórzostwem.

Z temi myślami wszedł na dworzec. W niewielkiej salce pierwszej klasy było już kilka osób i na stolach leżały całe stosy ręcznych tobołków, lecz nigdzie nie mógł dostrzedz Maszki, i dopiero rozejrzawszy się dokładnie, rozpoznał w młodej zakwefionej damie, siedzącej w kącie sali, panią Maszkową,

— Dobry wieczór — rzekł, zbliżywszy się ku niej. — Przychodzę pożegnać pani męża. Co się z nim dzieje?

Ona, skinąwszy mu lekko głową, odrzekła zwykłym sobie chłodnym głosikiem:

— Mój mąż kupuje bilety. Zaraz przyjdzie.

— Jak to bilety? Czyby i pani miała z nim jechać?

— Nie; mój mąż kupuje bilet.

Dalsza rozmowa w tych warunkach przedstawiała się dość trudno; po chwili jednak wszedł Maszko, w towarzystwie kolejowego służącego, któremu oddawał bilet i pieniądze z poleceniem wyekspedycowania rzeczy. Przybrany w długi płaszcz z peleryną i w miękki filcowy kapełusz, wyglądał razem ze swymi długimi faworytami i ze złotymi binoklami na jakiegoś podróżującego dyplomata. Polaniecki też łudził się, że Maszko okaże nadzwyczajną radość z jego

przybycia. Maszko, ujrzawszy go, rzekł wprawdzie: — «Ach, jakżem ci wdzięczny, żeś przyszedł!» — ale jakby z pewną niedbalością i z pośpiechem, zwykłym u ludzi, którzy wyjeżdżają.

— No, — ozwał się, rozglądając się po sali — wszystko załatwione! Ale gdzie to są moje ręczne pakunki! — A są! — Dobrze!

Poczem zwrócił się do Polanieckiego i powtórzył:

— Dziękuję ci, żeś przyszedł. Zróbże mi w takim razie jeszcze jedną łaskę i odwieź żonę do domu, albo przynajmniej wyjdź z nią razem i pomóż jej odnaleźć powóz. Tereniu, pan Polaniecki odwiezie cię do domu. Mój drogi, choć na chwilę, mam ci jeszcze coś powiedzieć.

I wzięwszy Polanieckiego na bok, począł mówić gorączkowo:

— Odwieź ją koniecznie. Ja swój wyjazd upozorowałem, ale ty, tak, mimochodem, powiedz jej, że dziwisz się, iż na tak krótko przed terminem sprawy wyjeżdżam, bo gdyby mnie jaki wypadek zatrzymał, sprawa musiałaby być przegrana. Chciałem u ciebie być, żeby cię właśnie o to prosić, ale, jak to wiesz... w dniu wyjazdu! Termin za tydzień!... Ja zachoruję; stanie za mnie mój dependent, który jest poczynającym adwokatem — i oczywiście przegra. Ale rzecz będzie upozorowana przez wypadek. Żonę za-

bezpieczyłem. Wszystko jest na jej imię i nie zabiorą jej jednej szklanki. Sam też mam jeden pomysł, z którym udam się do Towarzystwa budowy okrętów w Antwerpii. Jeśli zrobię układ, lasy zadrzą w całym kraju, ale kto wie, czy w takim razie nie wrócę, bo cała sprawa o Płoszów jest wobec tego drobnostką. Nie mogę mówić obszerniej! Gdyby nie te ciężkie chwile, które przejść musi moja żona, bronilbym się zgryzocie, ale to mnie dusi tak!

Tu pokazał ręką na gardło, a potem mówił jeszcze śpieszniej:

— Nieszczęście na mnie spadło, ale nieszczęście może spaść na każdego. Zresztą za późno o tem mówić. Jak było, tak było, alem robił, co mogł, i jeszcze zrobię, co będę mogł. I to dla mnie ulga, że ty także swoje wydobędziesz — choćby z Krzemienia! Żebym miał czas powiedzieć ci, co mam za pomysł, sambyś przyznał, że lada komuby nie przyszedł do głowy. Być może, że będę miał interesa i z waszą spółką. Widzisz, że się nie daje.. I żonę zabezpieczyłem zupełnie. Ha! stało się! stało! Inny na mojem miejscu gorzejby skończył. Czy nieprawda? Ale wracajmy teraz do żony.

Połaniecki słuchał z pewną przykrością słów Maszki. Podziwiał wprawdzie jego duchową niepożytość, ale jednocześnie czuł, że brak w nim

jakiejs równowagi, która różni przedsiębiorczego człowieka od przedsiębiorczego awanturnika. I zdawało mu się, że w Maszce jest już coś z przyszłego wytartego wygi, który będzie się jeszcze długo rzucał, ale razem ze swymi pomysłami będzie spadał coraz niżej, aż skończy na wykrzywionych butach, drugorzędnej kawiarni i opowiadaniach wśród tak samo «zalamanych» o swojej dawnej wielkości. Pomyślał także, że powód tego wszystkiego, to życie, oparte od początku na nieprawdzie, i że Maszko, przy całej swej inteligencji, nigdy nie potrafi się z pęt nieprawdy wydobyć.

Oto udawał jeszcze i teraz przy żonie. Poniękad musiał to czynić, ale, gdy sala poczęła się napelniać ludźmi, a między nimi niektórzy znajomi przychodzili ich witać i zamienić parę takich prędkich słów, jakie zamienia się na kolejach, Maszko odzywał się do nich z takim jakimś odcieniem wyższości i laski, że Polanieckiego brała złość. «I pomyśleć, — mówił sobie — że on ucieka przed wierzycielami; coby było, gdyby ten człowiek doszedł kiedykolwiek do fortuny!»

Ale tymczasem ozwał się dzwonek, a z za okien dał się słyseć pośpieszny oddech lokomotywy. Ludzie poczęli się ruszać i śpieszyć. «Ciekawym, co się w nim teraz dzieje?» — po-

myślał Połaniecki. Lecz on i w takiej chwili nie mógł wydobyć się z więzów kłamstwa. Być może, że serce ścisnęło mu się złem przecuciem, że miał błysk jasnowidzenia, iż tej żony, którą kochał, więcej nie zobaczy, że jedzie na poniewierkę, na upadek, ale nie wolno mu było ni okazać tego, co czuł, ani nawet pożegnać żony tak, jakby chciał.

Ozwał się drugi dzwonek. Wyszli na peron, i Maszko zatrzymał się jeszcze chwilę przed sleepingiem. Blask latarni padał prosto na jego twarz, na której zjawily się okolo ust dwie zmarszczki. Lecz mówił spokojnie, tonem człowieka, którego interesa zmuszają do kilkodniowego wyjazdu, i który jest pewien, że wróci.

— No, do widzenia, Tereniu. Ucałuj ode mnie ręce mamy i bądź mi zdrowa. Do widzenia! do widzenia!

To mówiąc, podniósł jej rękę, którą jednak długo trzymał przy ustach.

A Połaniecki, usunąwszy się umyślnie nieco na bok, myślał:

— Oni się widzą ostatni raz. Za jakie pół roku nastąpi urzędowa separacya.

I uderzył go szczególnie los tych obydwóch kobiet, jednaki dla matki i córki. Obie wyszły za mąż ze wszelkimi pozorami świetności — i oby-

dwóch mężowie musieli odbieżeć od domowego ogniska, pozostawiając żonom tylko wstyd.

Lecz tymczasem zadzwoniono po raz trzeci. Maszko wsiadł do wagonu. Przez chwilę w szerokiej szybie sleepingu widać było jeszcze jego faworyty i złote binokle, poczem pociąg zasunął się w ciemność.

— Służę pani — rzekł Połaniecki.

I był prawie pewien, że pani Maszkowa podziękuje mu sucho za towarzystwo. Był nawet z tego powodu zły, albowiem postanowił powiedzieć jej coś nietylko o mężu, ale i od siebie. Lecz ona skłoniła głowę na znak zgody. Miała także swój plan. W sercu jej zebrало się tyle gorzkiej niechęci i urazy do Połanieckiego, iż w przypuszczeniu, że on może znowu zechce skorzystać z chwili, którą mieli spędzić samotów, postanowiła mu dać odprawę, którąby długo popamiętał.

Lecz myliła się najzupełniej. Naprzód, on przez nią rozbił się, jak łódź o skałę, i z tego powodu przez jakiś czas czuł dla niej nietylko niechęć, ale i nienawiść. Powtóre, jeśli później, przez coraz wyraźniejsze poczucie, że wina jest wyłącznie po jego stronie, nienawiść ta przeszła, to zmienił się tak dalece, że był już niemal zupełnie innym człowiekiem. Kupiecki obrachunek z samym sobą nauczył go, że za po-

dobne wybryki za drogo się placi; był w fazie ogromnej tęsknoty do życia bez oszustwa, a wreszcie zgryzota i żal tak przeżarły w nim żądzę, jak rdza przeżera żelazo. Pomagając jej teraz wsiadać do powozu i dotknąwszy jej ramienia, pozostał spokojny — i wsiadłszy, począł jej zaraz mówić o Maszce, sądził bowiem, że przez samo uczucie ludzkości należy przygotować ją na przyszłą katastrofę i złagodzić jej znaczenie.

— Podziwiam odwagę męża pani — rzekl. — Niech w czasie jego pobytu w Berlinie runie jeden most na kolei, to nie będzie mógł wrócić na sprawę, od której — jak pani zapewne wiadomo — cały jego los zależy. Musiał wyjechać dla ważnych powodów, ale to zawsze hazard.

— Mosty są mocne — odpowiedziała pani Maszkowa.

Lecz on, nie zrażony tą niezbyt zachęcającą odpowiedzią, mówił dalej, odchylając przed nią stopniowo zasłonę przyszłości, i mówił tak długo, że tymczasem przybyli przed mieszkanie Maszków. Wówczas ona, nie rozumiejąc widocznie znaczenia jego słów, a może zła, że nie miała sposobności dania mu zamierzonej odprawy, rzekła, wysiadłszy już z karety:

— Czy pan ma jakiś osobisty cel w tem, żeby mnie niepokoić?

— Nie, pani — odrzekł Polaniecki, który uznał, że nadszedł czas powiedzenia jej tego, co jej postanowił powiedzieć od siebie. — W stosunku do pani mam tylko jeden cel, oto oświadczyć, żem względem pani niegodnie zawinił — i że panią z całej duszy przepraszam.

Lecz młoda kobieta, nie odpowiedziawszy ani słowa, weszła do sieni. Polaniecki do końca życia nie dowiedział się, czy to było milczenie niewiści, czy przebaczenia.

Jednakże wracał do domu z pewną ulgą, albowiem zdawało mu się, że powinien był tak postąpić. Był to w jego oczach mały akt pokuty — było mu zaś wszystko jedno, jak pani Maszkowa go rozumiała. «Może sądzi, mówił sobie, żem ją przepraszal za moje późniejsze postępowanie; w każdym razie będę jej teraz śmielej w oczy patrzal».

I w tej jego myśli było niezawodnie trochę egoizmu, ale była i wola wyjścia z manowców.

LXIV.

Panna Helena odebrała również przed wyjazdem od pani Broniczowej list, w rodzaju tego, który odebrała Marynia, i również, jak Marynia, nie pokazała go Zawilowskiemu. Zresztą

i Zawilowski wyjechał razem ze Swirskim w tydzień później, nie odwiedzwszy nikogo ze znajomych, z wyjątkiem panny Ratkowskiej. Sam Swirski odwiódł go od wszelkich odwiedzin, i Polaniecki, w rozmowach z żoną, przyznawał mu zupełną słusność. — «Teraz — mówił — byłoby to przykre i dla Ignasia, i dla nas. Co innego ci, którzy go codzień odwiedzali, bo ci do niego przywykli, ale nikt z innych nie mógłby się powstrzymać, by mimowoli nie spoglądać na ślad, jaki mu na czole pozostał. Zresztą Ignas zmienił się bardzo. Przez podróż przyjdzie zupełnie do siebie, i gdy wróci, my przyjmujemy go, jakby nie nie zaszło, a obcy będą w nim przedewszystkiem widzieli bogatego panicza».

I tak mogło być rzeczywiście. Ale tymczasem przez ów wyjazd wokół Polanieckich uczyniło się pusto. Kółko ich znajomych rozproszyło się na wszystkie strony. Osnowski bawił ciągle w Brukseli; o niej nikt dobrze nie wiedział, gdzie jest. Pani Broniczowa z panną Castelli siedziały w Paryżu; zbrakło również domu Zawilowskich; pani Krasławska z córką zamknęły się i żyły tylko jedna dla drugiej, a nakoniec choroba przykuła biedną panią Emilię raz na zawsze do łóżka.

Pozostali tylko Bigielowie i profesor. Ale on był również chory, a przytem zdziwaczał tak

bardzo, że dalsi mieli go wprost za waryata. Inni mówili z pewną ironią, iż człowiek, który spodziewa się, że duch chrześcijański przeniknie tak samo w dzieje, jak przeniknął w stosunki prywatne, nie może być chyba przy zdrowych zmysłach. On sam począł też myśleć o śmierci i czynić do niej przygotowania. Często powtarzał Polanieckiemu, że chciałby umrzeć w «sieni do innego świata» — i wybierał się w tym celu do Rzymu. Ale, kochając bardzo Marynię, pragnął doczekać się przedtem jej słabości.

W ten sposób czas upłynął Polanieckim w wielkiem osamotnieniu. Było ono zresztą potrzebne i dla Maryni, która w ostatnich dniach czuła się mocno niezdrowa, i dla jego usposobienia. Polaniecki pracował w biurze — i nad sobą; wyrabiał w sobie nowego człowieka i czuwał nad żoną, ona zaś również przygotowywała się do nowej w życiu epoki — i przygotowywała się wesoło, albowiem zdawało jej się, że sama jej zapowiedź wpływa doskonale na nich oboje. Polaniecki stawał się z każdym dniem jakiś mniej bezwzględny, wyrozumialszy w sądach o ludziach i łagodniejszy, nie tylko w stosunku do niej, ale w stosunku do wszystkich, z którymi go stykało życie. Ją otaczał wyjątkową, uprzedzającą troskliwością, a jak-

kolwiek przypuszczała, że troskliwość owa ma na celu nie tyle jej osobę, ile dziecko — uznała to za słuszne i była mu wdzięczna. Dziwiła ją czasem pewna nieśmiałość i jakby pewne wahanie się w jego obejściu, ale, nie mogąc odgadnąć, że to jest tylko powstrzymywanie uczucia dla niej, przypisywała podobne objawy obawie Stacha o to, czy wszystko odbędzie się szczęśliwie.

I w tych warunkach poczęły uchodzić całe tygodnie. Jednostajność ich przerywały czasem listy Świrskiego, który, gdy mógł złapać wolną chwilę, donosił co mógł, o Zawilowskim i o sobie. W jednym z tych listów pytał w imieniu Zawilowskiego, czy pani Połaniecka pozwoli, by ten opisy swych wrażeń posyłał pod formą listów do niej. — «Mówiliśmy z nim o tem obszernie — pisał Świrski. — On utrzymuje naprzód, że i pani może będzie przyjemnie mieć echa z kraju, który pani pozostawił tyle miłych wspomnień, a powtóre, że to bardzo ułatwia robotę, gdy się pisze jakby prywatnie. — Jest zdrow, chodzi, jada i sypia doskonale. Co wieczór widuję go też, jak siada do biurka i zabiera się do pisania. Uważałem, że próbuje i wierszy. Jakoś to nie idzie, bo dotąd, o ile wiem, nic nie napisał — przypuszczam jednak, że powoli wszystko się odnajdzie, a tymczasem

może forma listów istotnie ułatwić mu pracę. Dodaje na ostatek, że pannę Helenę wspomina z ogromną wdzięcznością, a na każde wspomnienie o paninie Ratkowskiej rozpromienia się w oczach. Ja zaś często mu o niej wspominam, bo cóż mam biedny robić? Jak co nie przeznaczone, to i niema rady, a jak komu pisane, że musi zostać kolkiem w płocie — to nie puści liści i na wiosnę.»

W połowie listopada przyszedł jednak z Rzymu list, który obojgu Polanieckim dał dużo do myślenia. Świrski pisał co następuje:

— «Wyobrażcie sobie państwo, że jest tu pani Broniczowa i panna Castelli — i żem się z nimi widział. Ja w Rzymie, jak w domu, więc o ich przyjeździe dowiedziałem się zaraz na drugi dzień. I wiecie, com na razie zrobił? Oto namówilem Ignasia do Sycylii, w czem zresztą nie miałem wiele trudności. Pomyślałem, że będzie siedział w Palermo, w Syrakuzach i w Taorminie, a gdyby wypadkiem wpadł w ręce «maffii», mniej drogo zapłaci za wykup, niż już zapłacił za prawo noszenia przez pewien czas pierścionka panny «Niteczki». — Mówilem sobie, że jeśli się mają spotkać gdziekolwiek na świecie i godzić, niechże się sobie spotykają i godzą, ale nie chciałem brać tego na własne sumienie, zwłaszcza po tem wszystkim, co zaszło. —

Ignas jest niby zdrów, ale umysłowo nie przyszedł jeszcze do siebie i w tym stanie mógłby łatwo być doprowadzony do czegoś, czego by potem całe życie żałował. Co do tych pań, domyśliłem się odrazu, dlaczego one tu przyjechały, i cieszyłem się w duszy, że im pomieściłszy — że zaś domysł mój był trafny, to dowód, że w kilka dni później przyszedł do Ignasia list, na którym rozpoznałem charakter szanownej wdowy po nieboszczyku Teodorze. Napisałem na kopercie, że Zawilowski wyjechał, niewiadomo dokąd, i list odesłano retro.

«To jednak dopiero początek historii. Naza jutrz odbieram list ja, z wezwaniem na rozmowę. Odpisuję, że z żalem muszę odmówić, ale moje zajęcia nie pozwalają mi na zrobienie sobie tej przyjemności. Na to odbieram drugą kartkę, już z odwołaniem się do mego charakteru, talentu, pochodzenia, serca, współczucia dla nieszczęśliwej kobiety — i z prośbą, bym, albo sam przyszedł, albo wyznaczył godzinę w pracowni. Nie było rady — poszedłem. Przyjęła mnie sama pani Broniczowa, ze łzami i z całym potokiem opowiadań, których nie będę powtarzał, ale w których «Niteczka» ukazuje się, jak Św. Agnieszka-męczennica. Pytałem: czem mogę służyć? Powiedziała mi, że tu nie chodzi o nic innego, tylko o dobre słowo ze strony Zawilowskiego, że

«dziecko jest chore, kaszle i prawdopodobnie roku nie przeżyje, ale chce umrzeć ze słowem przebaczenia». Na to, wyznaję, że trochę zmiękl, ale się trzymał. Nie mogłem zresztą dać adresu Zawilowskiego, bom nie wiedział rzeczywiście, w którym hotelu się zatrzyma. Pocilem się, jak w łaźni, i w końcu przyrzekłem tam coś ogólnikowo, że jeśli Ignas zacznie kiedy pierwszy ze mną mówić o panie Castelli, to go będę namawiał, by postąpił zgodnie z chęcią pani Broniczowej.

«Ale to wszystko jeszcze nie. W chwili, gdym myślał o odwrocie, weszła nagle sama panna Lineta i zwróciła się do ciotki z prośbą, by mogła ze mną sam na sam pomówić. Nawiasem powiem państwu, że wychudła i że wydała mi się jeszcze wyższa, niż zwykle, prawdziwie jak «topolka», którą lada wiatr może złamać. Ledwośmy zostali sami, zwróciła się do mnie i powiedziała mi tak: «Ciotka próbuje mnie uniewinnić i robi to wszystko z miłości dla mnie, więc jestem jej wdzięczna, ale ja nie mogę tego przenieść i oświadczam panu, że jestem winna, że jestem zła, że jestem nic nie warta, i że, jeśli jestem nieszczęśliwa, to stokrotnie na to zasłużyłam». — Usłyszawszy to, zdumiałem, ale wiedziałem, że mówi szczerze, bo jej się usta trzęsły i oczy zaćmiły. Mówcie sobie państwo, że

mam maślane serce, ale wyznaję, żem się grubo wzruszył, i spytałem, co mogę dla niej uczynić. Na to odpowiedziała mi, że nic, ale prosiła, żebym wierzył przynajmniej w to, że ona w tych usiłowaniach cioci do nawiązania na nowo stosunku nie bierze żadnego udziału, że jej się po postępku Zawilowskiego otworzyły oczy na to, jaka ona jest, co zrobiła, i że tego nigdy w życiu nie zapomni. W końcu powtórzyła raz jeszcze, że ona jedna wszystkiemu winna, i prosiła, żebym tę naszą rozmowę powtórzył Zawilowskiemu, ale nie teraz, tylko kiedyś, gdy jej już nie będzie mógł posądzać, że go chce wzruszyć.

«No i co? Dalibyście czemuś podobnemu wiarę? Ja widzę jasno dwie rzeczy. Naprzód, że ją zamach Zawilowskiego na siebie musiał, bądźcobądź, okropnie wstrząsnąć, a powtóre, że jest bajecznie nieszczęśliwa, i kto wie, czy rzeczywiście nie chora. Przychodzi mi też na myśl to zdanie panny Heleny Zawilowskiej, któreś mi pan powtórzył, że o człowieku nie wolno wątpić, póki żyje. W każdym razie jest to rzecz nadzwyczajna. Wierzę też, że gdyby nawet Zawilowski chciał teraz do niej wrócić, ona nie zgodziłaby się na to tylko dlatego, że się go nie czuje godna. Co do mnie, myślę, że na świecie jest wiele lepszych i szlachetniejszych od niej

natur kobiecych, ale niech mnie licho porwie, jeśli będę działał przeciw niej!»

W dalszym ciągu następowały zapytania o zdrowie i ukłony dla państwa Bigielów.

List ten uczynił wielkie na wszystkich wrażenie i dał powód do licznych rozpraw między Polanieckimi i Bigielami. Pokazało się też zarazem, jak dalece zmienionym człowiekiem jest Polaniecki. Dawniej nie znalazłby dość słów potępienia dla panny Castelli i nie byłby nigdy uwierzył, że w tego rodzaju kobiecie może się odezwać jakaś struna uczciwsza; obecnie zaś, gdy pani Bigielowa (która, jak i inne panie, ciałem i duszą należała do stronnictwa panny Ratkowskiej) wyraziła wątpliwość, czy nie jest to tylko odmienna taktyka ze strony panny Castelli — rzekł:

— Nie, ona na to zbyt młoda i wydaje mi się w tem szczerą. To już jest wielka rzecz, jeśli tak bezwzględnie uznaje swoją winę, bo to dowodzi, że jej zbrzydła życiowa nieprawda.

Po chwili zaś zastanowienia dodał:

— Ja pamiętam, jak naprzykład taki Maszko nieraz niby uznawał, że idzie błędną i fałszywą drogą, ale natychmiast szukał po za sobą przyczyn, któreby go mogły usprawiedliwić: «U nas tak trzeba»; «to wina naszego społeczeństwa»; «placę takimi pieniędzmi, jakie mają

kurs! — Com się tego nasłuchał! I to była również nieprawda. Tymczasem jest pewna odwaga w powiedzeniu: moja bezwzględna wina! — i kto tę odwagę ma, temu jeszcze coś zostało.

— Więc pan sądzi, że Zawilowski dobrzeby zrobił, wróciwszy do niej?

— Ani tak sędzę, ani przypuszczam, by się to stać mogło.

Lecz żywe zajęcie, rozbudzone wiadomościami z Rzymu, oraz troska o Zawilowskiego i pannę Castelli, przeszły wkrótce pod naciskiem poważniejszej troski, jaka zawisła nad domem Polanieckich. Pod koniec listopada zdrowie Maryni poczęło się psuć widocznie. Psulo się zresztą już od dawna, ale ona ukrywała to, póki mogła. Przychodziły na nią teraz ciężkie bicia serca i osłabienie tak wielkie, iż bywały dni, w których nie mogła poruszyć się z fotelu. Następnie dołączyły się do tego bóle krzyża i zawroty głowy. W ciągu tygodnia zmieniła się w oczach i wychudła do tego stopnia, że nawet lekarze, którzy aż dotąd uważali te objawy za zwykłą zapowiedź zbliżającej się słabości, poczęli się nimi niepokoić. Przezroczysta jej twarz przybierała teraz czasem odcień błękitnawy i, zwłaszcza w chwilach, gdy chora trzymała oczy zamknięte, stawała się podobną do twarzy umarłej. Nawet pani Bigielowa, największa optymistka

w otoczeniu, nie mogła w końcu oprzeć się obawom, lekarz zaś oświadczył wprost Połanieckiemu, że w takich warunkach oczekiwane przejście może być niebezpieczne i samo w sobie i w następstwach. Naprawdę jedna tylko Marynia, lubo codzien słabsza i więcej wyczerpana, nie traciła otuchy.

Połaniecki zaś ją tracił. Przyszedł na niego czas tak ciężki, że wszystkie bóle i zmartwienia, jakie trafiło mu się w życiu przechodzić, wydały mu się niczem w porównaniu z tym straszliwym niepokojem, przechodzącym częstokroć w zupełną utratę nadziei. Niegdyś, po ożenieniu się z Marynią, w jego pojęciach o małżeństwie i nadziejach na przyszłość, dziecko było czemś głównem; teraz dopiero uczuł, że oddałby nie jedno, ale wszystkie dzieci, jakie kiedykolwiek mógł mieć, byle uratować tę jedyną, kochaną głowę. I serce krajalo mu się, gdy czasem Marynia powtarzała swym osłabionym głosem pytanie, które i przedtem nieraz mu zadawała: «Stachu, a jeśli będzie chłopiec?» — Radby był upaść jej do nóg i, objąwszy je, powiedzieć: «Niech licho porwie chłopca, czy dziewczynę, byleś została mi ty!» — musiał zaś uśmiechać się do niej i zapewniać ją spokojnie, że mu to wszystko jedno. Opadły go znów dawniejsze strachy — i owa nadzieja, którą w nim wzbu-

dziły słowa Maryni, że fala zlego wraca przy lasce bożej tylko jako żal, rozwiała się bez śladu. Teraz chwilami miewał znowu poczucie, że choroba Maryni może być właśnie taką powracającą falą. Jakim sposobem tak mogło być, na to nie miał odpowiedzi, ale próżno rozum mówił mu, że naprzykład między występkiem pani Osnowskiej, lub panny Castelli, a karą, jaka je spotkała, istnieje bezpośredni związek, którego tu niemasz. Strach odpowiadał mu na to, że zło może się filtrować przez życie tak tajemniczemi drogami, iż rozum ludzki nigdy ich nie wyśledzi. I na tę myśl ogarniała go jakaś wprost mistyczna bojaźń. Człowiek w nieszczęściu traci zdolność do ścisłych rozumowań i żyje pod uciskiem groźby — i pod takim uciskiem żył Polaniecki. Widział tylko przepaść i własną bezsilność. Nieraz, patrząc na wynędzniałą twarz Maryni, mówił sobie: «Trzeba być szalonym, żeby przypuścić, iż ona może nie umrzeć!» — a jednocześnie szukał rozpaczliwie na twarzach otaczających choć cienia nadziei, i każdą kroplą krwi, każdą cząstką mózgu, całą duszą i sercem buntował się przeciw jej śmierci. Wydawało mu się to niepojętą krzywdą, żeby ona miała zamknąć na zawsze oczy, zanim on nie okaże jej, jak ją bez miary kocha, zanim jej nie wynagrodzi tych wszystkich chwil nieuwagi,

szorstkiego obejścia, egoizmu i niewiary, zanim nie powie jej, że stała się duszą jego duszy, czemś nietylko nad wszystko w życiu umiłowaniem, ale i uczczonem. Powtarzał sobie, że jeśli Bóg tego dla niego nie uczyni, to powinien uczynić dla niej, żeby przynajmniej odeszła z uczuciem takiego szczęścia, na jakie zasłużyła. Od tych zuchwałych narzucania Bogu, jak powinien postąpić, przechodził znów do skruchy, pokory i prośby. Ale tymczasem Marynia była z każdym dniem bardziej i niebezpieczniej chora, on zaś, wśród dwóch rozpacz, z których jedna krzyczała: «To nie może być!» — a druga: «To musi być!» — wil się istotnie, jak w kleszczach.

Nadomiar, z konieczności, z obawy, by żonie nie odebrać otuchy, musiał wobec niej udawać, że z jej choroby niewiele sobie robi. I lekarz i pani Bigielowa przestrzegali go codziennie, by jej nie przestraszał; wskazywał mu to również własny rozum, a jednocześnie było to dla niego nowem udręczeniem, przychodziło mu bowiem na myśl, że ona może to wziąć za brak uczucia i umrzeć z myślą, że on jej nigdy nie kochał. Zmieniło się też w nim wszystko do dna. Bezsenność, zmęczenie i trwoga wprowadziły go w stan jakiejś chorobliwej egzaltacji, w której samo nawet niebezpieczeństwo, i tak aż nadto rzeczywiste, widział w spotęgowanym stopniu.

Zdawało mu się, że niema żadnej nadziei, i chwilami myślał o Maryni, jakby już umarła. Po całych dniach rozpamiętywał wszystkie dodatnie strony jej charakteru, jej słowa, dobroć, spokój; przypominał sobie, jak wszyscy ją kochali, i jednocześnie czynił sobie rozpaczliwe wyrzuty, że jej nigdy nie był wart, że ją nie dość kochał, nie dość cenił, że w końcu złamał jej wiarę, a zatem musi ją stracić — i traci słusznie.

I w tem poczuciu, że rzecz tak straszna jest zarazem zasłużoną i że na wszelką poprawę jest za późno, było po prostu coś rozdzierającego. Ci nawet, którzy za życia byli zawsze bardzo kochani, odchodząc, pozostawiają po sobie żal, że jeszcze nie dość byli kochani — ze wszystkich najcięższy.

Na początku grudnia wrócili po dwumiesięcznym pobycie we Włoszech Świrski i Zawilowski. Połaniecki tak wysechł i zmizerniał przez ten czas, że go ledwie poznali; ale i on, cały pogrążony w swem nieszczęściu, prawie nie zwrócił na nich uwagi i słuchał, jak przez sen, słów pociechy i otuchy ze strony obydwóch, również jak i opowiadań, któremi zacny malarz próbował rozerwać jego strapioną myśl. Co go teraz mógł obchodzić Zawilowski, pani Broniczowa, lub panna Castelli, wobec tego, że jego Marynia mogła lada dzień skończyć! Świrski, który miał

dla niej ogromną przyjaźń, chcąc zaczerpnąć skądkolwiek trochę nadziei, udał się do pani Bigielowej, lecz i ta nie miała jej wiele. Lekarze sami nie wiedzieli dobrze, co chorej jest, bo do jej stanu przyłączyły się jeszcze rozmaite inne powikłania, nie dające się nawet określić. Wiadomo im było tylko, że serce chorej działa nieprawidłowo, obawiano się zaś przede wszystkim, by, wskutek złego krążenia krwi, nie potworzyły się w żyłach skrzepy, grożące natychmiastową śmiercią. Lecz prócz tego, nawet w razie szczęśliwego rozwiązania, obawiano się mnóstwa rzeczy: i wycieńczenia, i upadku sił, i wszelkiego rodzaju następstw, które dopiero później mogły się ukazać. Swirski przekonał się, że pani Bigielowa nie ludzi się już także, gdyż w końcu rozmowy rozplakała się i rzekła:

— Biedna Marynia, ale biedny i on! Żeby mu chociaż dziecko zostało, możeby znalazł siłę do zniesienia tego ciosu.

I wyplakawszy się, dodała:

— I tak ja nie rozumiem, jak on może to wszystko wytrzymać.

Była to prawda. Połaniecki nie jadł i nie spał. W biurze nie pokazywał się od dawna, z domu zaś wypadał tylko chwilami po kwiaty, które Marynia zawsze lubiła i których widok ją rozweselał. Ale była już tak chora, że on

za każdym razem, niosąc pęki chryzantem, wracał ze straszną myślą, że może niesie je na trumnę. Maryni samej otworzyły się oczy, że to może zbliża się śmierć. Mężowi nie chciała o tem mówić, ale przed panią Bigielową plakała któregoś dnia z żalu za życiem i za «Stachem». Martwiła się też myślą, jak on to przeniesie, bo chciało jej się, żeby jej bardzo żalował, a jednocześnie, żeby niebardzo cierpiał. Przez długi czas udawała jednak przed nim, że jest pewna, iż wszystko skończy się szczęśliwie.

Ale później, gdy poczęły przychodzić na nią omdlenia, zebrala się na odwagę, by z nim mówić trochę otwarciej. Wydało jej się to obowiązkiem, więc któreś nocy, gdy pani Bigielowa, zwyciężona bezsennością, poszła spać, a on czuwał, jak zawsze, przy niej, przyciągnęła do siebie jego rękę i rzekła:

— Stachu, ja chciałabym z tobą pomówić i o jedną rzecz cię prosić.

— Co chcesz, kochanie? — spytał Połaniecki.

Ona czas jakiś namyślała się widocznie, jakby wyrazić swoją prośbę, a potem poczęła mówić:

— Obiecuj mi... Ja wiem, że pewno wyzdrowieję... ale przyrzecz mi, że... choćby to był chłopiec, ty go będziesz kochał i będziesz dla niego dobry.

Połaniecki nadludzkim wysiłkiem pohamował

łkanie, które chwytalo go za piersi, i odrzekł spokojnie:

— Moje drogie kochanie! I ciebie będę zawsze kochał i jego. Bądź pewna!...

Na to Marynia spróbowała podnieść jego rękę do ust, ale z osłabienia nie mogła tego uczynić, więc poczęła się tylko uśmiechać do niego z wdzięcznością, a po chwili znów rzekła:

— I jeszcze jedno... Nie myśl, żebym przypuszczała zaraz jakie straszne rzeczy — wcale nie! — ale ja — chciałabym się wypowiedzieć...

Połanieckiego dreszcz przebiegł od stóp do głowy.

— Dobrze, moje dziecko — odpowiedział zająkliwym i jakby nieswoim głosem.

Ona zaś, przypomniawszy sobie, że niegdyś podobało mu się jej wyrażenie: «służba Boża», i chcąc mu dać poznać, że tu nie chodzi o nic innego, tylko o wypełnienie zwykłych religijnych obowiązków, powtórzyła z uśmiechem, niemal wesołym:

— Służba Boża!

I spowiedź odbyła się nazajutrz. Połaniecki tak był już pewien, że to jest koniec wszystkiego, iż niemal dziwilo go, że Marynia żyje jeszcze, a nawet, że wieczorem uczyniło się jej nieco lepiej.

Nie śmiał już wpuścić nadziei do duszy. Ona

jednak stała się rzeźwiejsza i mówiła, że jej lżej oddychać. Około północy poczęła z nim zwykłą wojnę o to, by poszedł odpocząć. Jakoż on, ze zmartwienia i trudu wyglądał już niewiele lepiej od niej. Bronił się też i teraz z początku, utrzymując, że spał w dzień, co była nieprawda — i że jest wypoczęty; ale gdy nalegała koniecznie — ustąpił, tem bardziej, że była przy niej umyślna kobieta i Bigielowa, a lekarz, który od tygodnia sypiał w ich mieszkaniu, upewnił go, że na dziś nie należy się niczego gorszego spodziewać.

Wyszedłszy jednak, uczynił to, co czynił zwykle, to jest siadł na fotelu przy drzwiach i począł nasluchiwać, co dzieje się w jej pokoju.

Za najmniejszym szmerem zrywał się, lecz gdy szmer ustawał, siadał znowu i począł rozmyślać, prędko a chaotycznie, jak czynią ludzie, nad którymi wisi niebezpieczeństwo. Chwilami jednak myśli zachodziły mu ze znużenia jedna za drugą, tworząc jakąś zbitą gęstwinę, w której się plątał, nie mogąc nic rozeznąć. Morzył go też i sen. Siły miał niepospolite, ale od dziesięciu dni przebierał się tylko, nie rozbierał — i na nogach podtrzymywała go jedynie czarna kawa i gorączka. Nie poddawał się i teraz, choć głowa ciążyła mu ołowiem, a gęstwina myśli zmieniła się jakby w czarną

chmurę, bez jednego jaśniejszego promyka. Mechanicznie tylko powtarzał sobie jeszcze, że Marynia chora i że on nie powinien usnąć; ale słowa te nie miały już dla niego najmniejszego znaczenia.

Wreszcie trud, wyczerpanie i bezsenne noce przemogły. Chwycił go nieprzeparty, kamienny sen, w którym nic się nie śni, w którym ginie rzeczywistość, ginie cały świat i samo życie zdaje się drętwieć.

Nad ranem zbudziło go dopiero pukanie do drzwi.

— Panie Stanisławie! — ozwał się przytłumiony głos pani Bigielowej.

Połaniecki zerwał się na równe nogi i, oprzytomniawszy w tejże chwili, wybiegł z pokoju. Jednym spojrzeniem objął łóżko Maryni, i na widok zapuszczonych firanek nogi zachwiały się pod nim.

— Co się stało? — wyszeptał zbielełymi wargami.

A pani Bigielowa odpowiedziała równie cicho, głosem nieco zdyszczanym:

— Macie syna...

I położyła palec na ustach.

LXV.

Były jeszcze dni ciężkie i bardzo ciężkie. Przyszło osłabienie tak wielkie, że życie Maryni poczęło się wahać, jak płomyk. Zgaśnie czy rozetleje? — na to nie umiał nikt odpowiedzieć. Chwilami wszyscy byli przekonani, że już, już gaśnie. Jednakże młodość i ulga, jaką organizmowi przyniosło przyjście na świat dziecka, przeważały szalę na stronę życia. Któregoś dnia chora po długim śnie obudziła się jakby rzeświejsza. Stary lekarz, który był przy niej i który to stwierdził, chcąc upewnić się lepiej, że owo polepszenie nie jest złudzeniem, zażądał wezwania drugiego, z którym przedtem składali konsylia. Polaniecki sam po niego pojechał i prawie odchodził od zmysłów, szukając go po mieście przez pół dnia, nie śmiał bowiem jeszcze mieć nadziei, że to już zwrot stanowczy w jej chorobie i w jego niedoli. Gdy nareszcie odnalazł utrapionego medyka i gdy przywiózł go do domu, przyjęła ich w przedpokoju pani Bigielowa, z mokremi rzęsami, ale z twarzą rozpromienioną, i rzekła:

— Lepiej! stanowczo lepiej!

I nie mogła mówić więcej, bo łzy popłynęły z jej oczu. Polaniecki pobladł ze wzruszenia,

ona zaś, opanowawszy po chwili swą radość, poczęła mówić, uśmiechając się przez łzy:

— Wie pan, wojuje już o jedzenie! Przedtem kazała sobie przynieść małego. Dopytywała także, czemu pan nie wraca. A teraz wojuje o jedzenie, ale jak wojuje! A, chwała Bogu! chwała Bogu!

I w uniesieniu uściskała Polanieckiego, a on przez długi czas nie odejmował ust od jej rąk; drżał tylko cały z wysilenia, żeby potłumić radość, ale zarazem i jęki, które, nagromadziwszy się w nim przez tyle dni trwogi i męczarni, chciały teraz koniecznie wybuchnąć.

Tymczasem lekarze poszli do Maryni i siedzieli przy niej dość długo. Gdy po skończonej naradzie ukazali się znowu, na twarzach ich widać było zadowolenie. Na gorączkowe zapytania Polanieckiego, ten, który stale był przy Maryni, stary impetyk, ze złotymi okularami na nosie i złotem sercem w piersiach, sam uszczęśliwiony, ale utrudzon bardzo, rzekł oburkliwie:

— Jak się ma? Idź pan, podziękuj Bogu!... ot co!

I Polaniecki poszedł. Gdyby był człowiekiem zupełnie niewierzącym, byłby w tej chwili poszedł tak samo — i z sercem, wezbranem łzami i wdzięcznością, byłby dziękował tak samo Bogu, że się nad nim zlitował i pozwolił wrócić fali

złego tylko pod postacią żalu, zgryzoty, męki — nie pod postacią śmierci.

Poczem, uspokoivszy się, wszedł na palcach do pokoju żony, przy której była już pani Bigielowa. Marynia raźnie spoglądała przed się rozweselonemi oczyma, i na pierwsze wejrzenie znać było, że istotnie ma się daleko lepiej. Ujrawszy go, rzekła:

— A widzisz, Stachu... dobrze!

— Dobrze, kochanie — odpowiedział cicho Polaniecki.

Nie pora była jeszcze na głośne wybuchy, więc siadł w milczeniu przy jej łóżku. Lecz po chwili radość i ogromna miłość do niej zmogły go tak, iż, przechyliwszy się, objął rękoma jej okryte koldrą stopy, a następnie, przyłożywszy do nich twarz, pozostał w ten sposób bez ruchu.

Ona zaś, jakkolwiek bardzo jeszcze osłabiona, uśmiechała się z zadowolenia. Przez czas jakiś patrzyła na niego, poczem, zupełnie jak dziecko uszczęśliwione, że je pieszczą, rzekła do pani Bigielowej, ukazując swoim przezroczytym paluszkiem na tę ciemną czuprynę, przytuloną do jej nóg:

— Kocha!

Nazajutrz Marynia czuła się jeszcze zdrowszą, i od owej chwili każda niemal godzina przyno-

sila polepszenie. W końcu był to już nie powolny powrót do zdrowia, ale jakby rozkwit, jakby nagły powrót wiosny po zimie, który zdumiewał samego lekarza. Polanieckiemu chciało się teraz chwilami krzyczeć z radości, która dusiła go tak, jak dawniej — męka. Trzymano Marynię jeszcze w łóżku, przez zbytek ostrożności; ale gdy wracały jej siły, rumieńce, ochota do życia, humorem, poczęła sobie przykrzyć i codzień wieczorem zapowiadać, że nazajutrz wstanie. Pod jednym tylko względem długa choroba i bezsilność przyniosły zmianę w jej usposobieniu, która jednak wkrótce miała przejść razem z innymi śladami słabości. Oto tak spokojna i rozsądna niegdyś kobietka, stała się na pewien czas jakby rozpieszczonem dzieckiem, które często napierało się rozmaitych rzeczy bardzo usilnie i odczuwało prawdziwe zmartwienie, jeśli mu ich odmawiano. Polaniecki, rozmawiając z nią, wchodził mimowoli w jej ton, skutkiem czego owe «grymasy» były powodem do wesolości.

Raz poczęła się przed nim skarżyć, że pani Bigielowa nie chce jej dać czerwonego wina. Pani Bigielowa tłumaczyła się, że dała tyle, ile doktor pozwolił, ale musi czekać na jego pozwolenie, żeby dać więcej. Polaniecki ją zaraz Marynię pocieszać, mówiąc do niej tak zupełnie, jak niegdyś mawiał do Litki:

— Dadzą dziecku wina, zaraz dadzą!... Tylko doktor przyjdzie...

A Marynia na to:

— Czerwonego!...

— Ale jak czerwonego! — odpowiedział z zapalem Polaniecki.

Poczem oboje poczęli się śmiać, a z nimi razem i pani Bigielowa. Jak dawniej w całym tym pokoju unosiła się trwoga śmierci i nieszczęścia, tak teraz często radość rozświecała go, jak słońce. Chwilami wpadali w doskonały humor, a do kompanii należał częstokroć i dziadzio Pławicki, który, od czasu przyścia na świat wnuka, stał się pelen patryarchalnej, ale dobrotliwej powagi, nie wyluczającej wesolości. Bywało zresztą różnie; czasem bowiem bral w nim górę nastrój wysoki i uroczysty. Pewnego dnia przyniósł testament i zmusił wszystkich do wysluchania jego paragrafów od początku do końca. We wstępie żegnał się we wzruszających słowach z życiem, z córką, z Polanieckim i z wnukiem, nie szczędząc przytem wskazówek, tyczących jego wychowania na dobrego wnuka, dobrego syna, ojca i obywatela; następnie czynił go spadkobiercą wszystkiego, co posiadał — i, pomimo że od bankructwa Maszki posiadał tylko tyle, ile mu dawał Polaniecki — niemniej czuł się wzruszonym swoją hojnością i niemniej cały

wieczór miał minę pelikana, który nakarmił własną krwią pisklęta.

Człowiek, który się odradza na świat po ciężkiej chorobie, przechodzi poniekąd znów przez wszystkie okresy dzieciństwa i pierwszej młodości, z tą jedynie różnicą, że to, co dawniej liczyło się na lata, liczy się w takich warunkach na tygodnie, lub nawet na dni. Tak było z Marynią. Pani Bigielowa, która z początku nazywała ją «bébé», mówiła, śmiejąc się, że stopniowo «bébé» zmienia się w małą dziewczynkę, a z dziewczynki w podlotka. Ale w podlotku poczęła się następnie odnajdować kobieca kokieterya. Teraz, gdy ją czesano, wymagała już koniecznie, by jej stawiano na kolanach niewielkie zwierciadło, które miała po matce, i pilnie badała w niem, czy też zapowiedź pani Bigielowej, że «potem jest się jeszcze ładniejszą», sprawdza się na niej. W pierwszych czasach oględziny niezbyt ją zadowalały, później jednak coraz więcej. Nakoniec, któregoś dnia, kazała sobie zaraz po uczesaniu podać raz jeszcze zwierciadło— i jeszcze raz odbyła dokładny przegląd cery, oczu, ust, włosów, wyrazu, słowem wszystkiego, co było do obejrzenia.

I *rewia* musiała wypaść dobrze, albowiem poczęła się uśmiechać, rozpromieniać, wreszcie zwróciła się w stronę pokoju Polanieckiego i, prze-

grażając wymizerowaną piastką, z miną wielce zdobywczą, rzekła:

— A, poczekaj-no teraz, panie Stachu!

Rzeczywiście zaś nigdy nie była równie śliczna. Pleć jej, zawsze bardzo czysta, stała się jeszcze bardziej przezrocza i jeszcze więcej liliowa, niż wówczas, gdy Zawilowski tracił głowę i rymował z tego powodu od rana do wieczora. A obok tego, na policzkach jej świecił już pierwszy różowy blask zdrowia. Z oczu, z ust, ze zdrobniałej po chorobie twarzy, biło jakby światło, jakby odrodzenie się do życia i jakby wiosna. Była to po prostu cudna głowa, pełna barw jasnych a leciuchnych, a zarazem subtelnego rysunku — prawdziwie wytworna i, jak się niegdyś wyraził Zawilowski: polna — tak cudna, że chwilami, gdy leżała na poduszkach i na podścieli ciemnych włosów, nie można się jej było dość napatrzeć. To też tak zwany «Pan Stach», który to wszystko widział doskonale, i który, wedle określenia Bigiela, nie mógł już z miłości «ani ręką, ani nogą ruszyć» — nie potrzebował wcale «czekać». Nietylko ją teraz kochał jak kobietę i jak drogą głowę, ale czuł dla niej wdzięczność bez granic za to, że nie umarła — i okazywał swą wdzięczność w ten sposób, że starał się odgadywać jej myśli. Marynia ani przypuszczała kiedykolwiek, że stanie się do

tego stopnia osią jego życia, źrenicą jego oka, duszą jego myśli i czynności. Nigdy nie było im z sobą źle, ale teraz, wraz z powrotem do zdrowia Maryni, weszło do ich domu niebywale szczęście i niebywała radość.

Przyczyniał się do niej dzielnie i młody Połaniecki. Marynia nie mogła sama karmić, i mąż, przewidując to, sprowadził do syna żywicielkę. Chcąc jednak sprawić chorej przyjemność, sprowadził dawną jej znajomą z Krzemienia. Służyła ona niegdyś u Plawickich, po ich wyjeździe zaś zgodziła się do Jalbrzykowa, i tam zdarzyło się jej nieszczęście. Nigdy nie wiadano dobrze, kto był jego przyczyną; jeśli jednak któremu z większych właścicieli można było zarzucić brak miłości do ludu, to nie panu Gątowskiemu, albowiem w całym Jalbrzykowie pelno było dowodów, jak dalece pan Gątowski lud kochał. Nawet i przy układach o serwituty, współobywatele z Jalbrzykowa między innemi kwestyami podnosili i tę, że: «pan dziedzie na białym koniu jeździ, z pistolca se strzyla i dziewczkom w ślipia patrzy» — i jeśli z jednej strony nie łatwo było pojąć, jaki właściwie związek mają powyższe zwyczaje pana Gątowskiego z układami o serwituty, to natomiast z drugiej stawało się zupełnie jasnem, iż, dzięki tymże zwyczajom, Połaniecki znalazł z łat-

wością w Jalbrzykowie karmicielkę dla swego syna.

Że zaś była to silna, młoda i hoża Mazurka, przeto młody człowiek mógł tylko dobrze wyjść na jej opiece. Wogóle ów mały Polaniecki była to osoba, która od pierwszej chwili przyjścia na świat rozpanoszała się w domu codziennie bardziej, nie licząc się z nikim i nie myśląc o niczem, tylko o własnych potrzebach i przyjemnościach. W myśl tej metody, w chwilach wolnych od uczt i snu, zajmował się ćwiczeniem i rozwojem swych małych płuc, za pomocą krzyku tak doniosłego, na jaki tylko poranny jego wiek umiał się zdobyć. Przynoszono go wówczas najczęściej do Maryni, przyczem rozpoczynały się nieskończone sesye, na których rozpatrywano szczegółowo wszystkie jego fizyczne i umysłowe zalety, oraz uderzające podobieństwo do życiodawców. Stwierdzono w ten sposób, że ma nos matki, odrzuciwszy z rzadką w głosowaniu jednomyslnością uwagę mamki, że ma nos jak «kociak»; stwierdzono również, że będzie miał niezmiernie ujmujący uśmiech, że będzie brunetem, że będzie niezawodnie wysoki, że jest bardzo żywy i że będzie się odznaczał zadziwiającą pamięcią. Pani Bigielowa, póki Marynia leżała jeszcze w łóżku, robiła przytem na swoją rękę rozmaite odkrycia, które zwiasto-

wala wszem wobec. Raz też, wpadłszy do Maryni, poczęła mówić z radością i godnym wszelkiego uznania pośpiechem:

— Wyobraź sobie, rozłożył paluszki u jednej rączki, a drugą, przysięglabyś, że je liczy. Będzie z pewnością matematyk!

Marynia zaś odrzekła z zupełną powagą:

— To będzie miał po ojcu.

I ona jednak zrobiła odkrycie, wcześniejsze nawet pod względem daty od wszystkich pani Bigielowej, mianowicie, że to jest «bardzo kochane stworzonko». Co do Polanieckiego, ten w pierwszych chwilach patrzył na nowego znajomego ze zdziwieniem i pewną nieufnością. W swoim czasie bardzo sobie życzył mieć córkę, z tego głównie względu, iż, będąc z usposobienia i serca wielkim dzieciarzem, wyobraził sobie, że tę całą tkliwość, jaką się ma w sobie, można oddać tylko dziewczynce. Niewiadomo dlaczego tkwilo w nim pojęcie, że syn to będzie zaraz jakieś chłopisko, nieledwie z wąsami, mówiące basem, wierzgające jak żrebak, do którego z tkliwością nie warto i przystępować, bo on ją ma — w pogardzie. Stopniowo dopiero, przypatrując się tej drobnej, śpiącej w poduszkach, figurze, począł dochodzić do przekonania, że to nietylko nie jest żadne «chłopisko», ale po prostu godna litości bieda, taka mała, słaba,

bezbronna, tak potrzebująca opieki i kochania, jak i wszystkie w świecie dziewczyny. Zresztą mówił sobie: «Taki on tam jeszcze i chłopiec!» — i od tej chwili rozczulał się dla niego coraz więcej, a po kilku dniach próbował go nawet sam nosić do Maryni, co zresztą czynił z takim nakładem zgola zbyticznych ostrożności, a zarazem tak niezgrabnie, że doprowadzał do śmiechu nie tylko Marynię i panią Bigielową, ale, z ujmą swej powagi — nawet i mamkę.

I śmiech rozlegał się teraz w mieszkaniu Polanieckich niemal od rana do wieczora. Oboje, budząc się rano, budzili się z tem błogiem poczuciem, że dzień przyniesie im nową radość. Bigiel, który od czasu jak Marynia wstała, dopuszczany bywał wieczorem razem ze swoją wiolonczelą, przypatrując się ich życiu, rzekł raz, po chwili odpowiedniej rozwagi:

— Na dobrych ludzi, jak i na każdego, może przyjść nieszczęście; ale za to, jak im dobrze, tak, dalibóg, nikomu nie jest lepiej.

A im było rzeczywiście dobrze. Marynia, wedle tego, co słyszała w swoim czasie od pani Bigielowej i co myślała sama, sądziła, że przyczyną tego ponownego rozkwitu miłości męża jest dziecko, które ich związało nowymi węzłami... Któregoś dnia poczęła nawet o tem mówić z Polanieckim, lecz on odrzekł jej z całą prostotą:

— Nie! słowo ci daję! Jego swoją drogą kocham, ale ciebie kochałem już bajecznie, nim on na świat przyszedł — dla ciebie samej, dlatego, że jesteś taka, jak jesteś. Spójrz naokół, pomyśl, co się na świecie dzieje i z kim ja ciebie mam porównać?...

Tu wzięwszy jej rękę, począł je całować nie tylko z ogromną miłością, ale zarazem z największą czcią — i dodał:

— Ty sama nigdy nie będziesz wiedziała, czem ty dla mnie jesteś i jak ja ciebie kocham!

Ona zaś, przytuliwszy się do niego, pytała z twarzą jasną od szczęścia, jak słońce:

— Nie? naprawdę, Stachu?... powiedz!...

LXVI.

Przyszły chrzciny. Młody człowiek był już ochrzczony z wody, albowiem uczyniła to zaraz po jego przyjściu na świat pani Bigielowa, której, pod wrażeniem choroby matki, wydawało się, że i mały umrze lada minuta... Lecz on ani o tem myślał — i w najlepszym zdrowiu i apetycie czekał na termin uroczystości, w której miał odegrać główną rolę. Połaniecki pospraszal wszystkich znajomych: była więc, prócz

domowych i dziadzi Plawickiego, pani Emilia, która na ten dzień zebrała resztę sił, byli oboje państwo Bigielowie z małemi Bigielećkami, i profesor Waskowski, i Świrski, i Zawilowski, i panna Ratkowska. Pani Polaniecka, zdrowa już, wystrojona i szczęśliwa, wyglądała tak uroczo, że Świrski, ujrzawszy ją, wziął się obu rękoma za włosy i, ze zwykłą sobie szczerością, rzekł:

— To przecie przechodzi wszelkie pojęcie! Dalibóg, czy można stracić!

— Co! — zawołał Polaniecki, sapiąc z zadowolenia i z taką zarozumiałością, jakby zawsze utrzymywał to, o czem inni teraz dopiero się przekonali.

A Świrski odrzekł:

— Klękajcie narody! Nie powiem nic więcej!

Ona słuchała tego z zakłopotaniem, ale płonąć zarazem z radości w poczuciu, że Świrski ma słusność. Musiała się jednak zająć gośćmi i ceremonią, a to tem bardziej, że z początku wkradło się pewne zamieszanie. W pierwszą parę miała trzymać małego Stasia pani Emilia i Bigiel, w drugą zaś malarz z panną Ratkowską. Tymczasem ten ostatni począł robić niespodzianie trudności, wynajdować przeszkody i wykręcać się niewiadomo dlaczego. «Radby bardzo — po to umyślnie z Włoch przyjechał... jakże! to rzecz ułożona; ale, że nigdy przedtem

dziecka do chrztu nie trzymał, więc nie wie, czyby mu się chrześniak zdrowo chował, a zwłaszcza, czyby miał szczęście do kobiet». Na to Polaniecki począł się śmiać i nazywać go przesadnym Włochem, lecz Marynia, która najprędzej domyśliła się o co chodzi, korzystając z chwili, w której chcąc się wymknąć, wycofywał się do okna, rzekła półgłosem:

— Kumostwo w drugą parę nie jest w danym razie przeszkodą.

Swirski powiódł za nią oczyma, następnie uśmiechnął się, ukazując swoje małe zdrowe zęby, i nagle rzekł, zwracając się do panny Ratkowskiej:

— Prawda, że to tylko w drugą parę, więc... służę pani!

I wszyscy otoczyli teraz małego Stasia, który na ręku niani, przybrany w powłóczyste muśliny i koronki, wyglądał dzielnie razem ze swoją łysiną i wytrzeszczonemi okrągłemi oczkami, w których świat zewnętrzny odbijał się tak mechanicznie, jak w zwierciadle. Bigiel wziął go teraz na ręce i rozpoczął się obrząd.

Obecni słuchali w należytem skupieniu poważnych sakramentalnych słów, lecz młody poganin okazał wyjątkową zatwardziałość. Naprzód począł wierzgać tak, że wysunął się napół z rąk Bigiela, poczem, gdy Bigiel wyrzekał

się w jego imieniu czarta i jego nieprawości, uczynił wszystko, co było w jego mocy, żeby go zagłuszyć. Dopiero, ujrzawszy niespodzianie wśród krzyku okulary Bigiela, uciał nagle, jakby chcąc dać do zrozumienia, że jeśli na świecie istnieją tak zdumiewające przedmioty, to w takim razie co innego.

Zresztą obrząd się skończył, i zaraz potem oddano go w ręce niani, która po chwili ułożyła go w przepysznem łóżeczku, mającem kształt wózka, darze Świrskiego — i chciała go wytoczyć z pokoju. Lecz Świrski, który może dotąd nigdy w życiu nie widział z blizka tak małej osoby, i w którego piersiach biło stęsknione oddawna za ojcowstwem serce, zatrzymał nianię i, pochyliwszy się do kolyski, wziął dziecko w ramiona.

— Ostrożnie! ostrożnie! — zawolał, zbliżając się, Polaniecki.

A malarz odwrócił się do niego i rzekł:

— Panie, ja miewałem w ręku wyroby Luca della Robbia.

I rzeczywiście, podniósł małe stworzenie i począł je huścić z taką zręcznością, jakby całe życie dzieci niańczył. Następnie przystąpił z nim do profesora Waskowskiego i spytał:

— Cóż? Co kochany profesor myśli o tym młodym Aryjczyku?

— A cóż? — odpowiedział staruszek, spoglą-

dając z rozczuleniem na malca: — naturalnie, że Arya! najczystszej krwi Arya!

— I przyszył misyonarz? — dodał Polaniecki.

— Nie uchyli się od tego w przyszłości, nie uchyli, tak, jak i wy nie umiecie się uchylić! — odpowiedział profesor.

Jakoż przyszłości niepodobna było przesądzać, na razie jednak młody Aryjezyk uchylił się od wszelkich misyi w sposób tak niedwuznaczny, a nawet wprost obelżywy, że trzeba go było oddać niani. Panie jednak nie przestały się nim bawić, emokać na niego i zachwycać się nim, póki nie doszły do stanowczego wniosku, że to jest dziecko zupełnie wyjątkowe, że całe zachowanie się jego dowodnie o tem świadczy, i że trzebaby chyba nie mieć oczu, żeby nie poznać, że to będzie najprzystojniejszy w kraju mężczyzna, a przytem geniusz.

Geniusz jednak usnął wreszcie, jak gdyby odurzony kadzidlami, a tymczasem podano śniadanie. Marynia, mimo całej przyjaźni dla malarza, posadziła jednak kolo panny Ratkowskiej Zawilowskiego. Chciała, jak zresztą i wszyscy, nie wyjmując nawet Świrskiego, żeby się coś w ich stosunkach wyjaśniło. Zawilowskiego postępowanie było bowiem dziwne. Świrski utrzymywał, że on nie jest jeszcze zupełnie normalny. Był zdrow, sypiał i jadał dobrze, na-

wet nieco utył, mówił rozsądnie, choć powolniej, niż dawniej, ale pojawiała się w nim jakaś niemoc woli, jakiś brak inicjatywy, której przedtem było w nim tak pełno. We Włoszech rozpromieniał się na wspomnienie panny Ratkowskiej, i gdy o niej mówił, oczy czasem zachodziły mu łzami. Po powrocie, gdy mu ktoś czasem napomknął, że wartoby pójść z wizytą do panny Ratkowskiej, a zwłaszcza, gdy ofiarował się iść z nim razem, mówił: «A prawda» — i szedł z radością. Po za tem jednak zdawał się jakby nie pamiętać o jej istnieniu. Widoczne czasem było, że jakieś inne myśli nurtują go w głębi duszy i pochłaniają wszystkie jego duchowe władze. Świrski przypuszczał przez jakiś czas, że to może pamięć o panie Castelli — przekonał się jednak z pewnem zdziwieniem, że tak nie jest, i wreszcie zaczął mniemać, że Zawilowski dlatego nigdy jej nie wspominał, iż stracił poczucie jej rzeczywistości, albo też, że wydawała mu się już już czemś tak odległym, jakimś wrażeniem tak rozwianem, że wspomnień o niej nie mógł związać w żywą, realną całość. Nie był jednak smutny. Owszem, chwilami znać w nim było zadowolenie i radość z życia, jakby się dopiero po powtórnem odrodzeniu na niem poznał. Prawdziwie smutną, coraz bardziej zamkniętą w sobie i coraz cichszą była panna Rat-

kowska. Może, prócz braku wzajemności, niepokoiły ją w Zawilowskim i inne rzeczy, ale nie mówiła o swych niepokojach z nikim. Marynia i pani Bigielowa, sądząc, że wyłącznym powodem jej smutku jest zachowanie się Zawilowskiego w stosunku do niej, otaczały ją najserdeczniejszem współczuciem i gotowe były uczynić wszystko, by jej przyjść z pomocą. Marynia, od czasu powrotu Zawilowskiego z Włoch, widziała go po raz pierwszy, ale pani Bigielowa mówiła z nim codziennie o pannie Ratkowskiej, unosząc się nad nią, wspominając, ile jej winien wdzięczności, i dając mu coraz wyraźniej do zrozumienia, że powinien się jej jakoś z takiego długu uiszczyć. Poczciwy Świrski, wbrew własnym nadziejom, powtarzał mu toż samo — i Zawilowski wszystko przyznawał, tylko, jakby nie chcąc, lub nie umiejąc wyprowadzić ostatecznego wniosku, mówił o rychłym swym powtórnym wyjeździe, o planach jeszcze większych podróży na przyszłość, słowem o rzeczach, które z natury swej wyłączały udział panny Ratkowskiej.

I teraz, siedząc obok, niewiele do siebie mówili. Zawilowski jadł obficie — i z zajęciem, a nawet pewną niecierpliwością, przeprowadzał oczyma nowe dania, które podawano naprzód starszym; panna Ratkowska, zauważywszy to,

spoglądała na niego chwilami jakby z bolesnem współczuciem, a Marynię poczęło to trochę korcić, więc, chcąc zawiązać między nimi rozmowę, rzekła, przechyliwszy się przez stół:

— Pan tak świeżo z podróży, niechże pan coś opowie mnie i Stefciej o Włoszech. Wszak ty, Stefcieju, nie byłaś tam dotąd?

— Nie byłam — odpowiedziała panna Ratkowska; — ale niedawno właśnie czytałam jakąś podróż... tylko, że czytać a widzieć to co innego.

I zarumieniła się lekko, spostrzegła bowiem, iż się zdradziła, że czytywała o Włoszech właśnie wówczas, gdy Zawilowski tam bawił.

On zaś rzekł:

— Mnie pan Świrski namówił aż do Sycylii, ale tam były jeszcze upały; tamby trzeba teraz jechać!

— A! — rzekła Marynia — dobrze, że mi się przypomniało! A moje listy? Pytał pan przecie przez pana Świrskiego, czy chcę, by mi pan spisywał swoje wrażenia, a potem nie odebrałam ani literki!

Zawilowski zaczerwienił się nagle, zmieszał, a potem rzekł jakimś dziwnym, niepewnym głosem:

— Bo... jeszcze nie mogłem... Ja będę ogromnie dużo pisał, ale później...

Świrski, posłyszawszy te słowa, zbliżył się

po śniadaniu do Maryni i rzekł, ukazując Zawilowskiego oczyma:

— Wie pani, jakie on mi czasem robi wrażenie? — że to jest kosztowne naczynie — rozbite.

LXVII.

W parę dni po chrzeinach Świrski odwiedził Polanieckiego w biurze, by się dowiedzieć o zdrowie Maryni, a zarazem pogadać o rozmaitych rzeczach, które mu leżały na sercu. Widząc jednak, że się spóźnił, i że Polaniecki zabierał się do wyjścia, rzekł:

— Niech pan dla mnie nie zostaje. Pogawędzimy na ulicy. Światło dziś tak ostre, że nie mogę nic robić, więc odprowadzę pana do domu.

— Musiałbym pana w każdym razie przeprosić — odpowiedział Polaniecki. — Moja Marynia dziś po raz pierwszy wychodzi, i idziemy do Bigielów na obiad. W tej chwili musi być już ubrana, ale mam jeszcze ze dwadzieścia minut czasu.

— Skoro wychodzi, to widać, że zdrowa.

— Chwalić Boga, jak ptak! — odpowiedział z radością Polaniecki.

— A Aryjczyk?

— Aryjczyk także tęgo się trzyma.

— Ach, szczęśliwy człowieku! — rzekł Świrski: — ja, gdybym miał w domu taką żabę, nie mówiąc już o takiej żonie, to nie wiem... chyba-
bym po dachach chodził!

— To też nie uwierzysz pan, jak mnie ten chłopak bierze za serce... Codziennie więcej — a wogóle tak, że anim się spodziewał, bo trzeba wiedzieć, że ja sobie życzyłem córki.

— Jeszcze nie wieczór! przyjdzie i córka! — odrzekł Świrski. — Ale pan się śpieszysz, więc chodźmy.

Połaniecki wdział futro, i wyszli na ulicę. Dzień był mroźny, jasny. Wokół rozlegał się pośpieszny brzęk dzwonek od sanek. Ludzie mieli kolnierze na uszach, szron na wąsach i z ust wyrzucali slupy pary.

— Wesoly jakiś dzień — rzekł Połaniecki. — Cieszę się dla mojej Marylki, że pogoda.

— Panu wesoło, więc wszystko bierzesz jasno — odrzekł Świrski, biorąc go pod rękę.

Lecz nagle puścił ramię Połanieckiego i, zastąpiwszy mu drogę, rzekł z taką miną, jakby się chciał z nim kłócić:

— Czy pan wiesz, że pan masz za żonę najpiękniejszą kobietę w Warszawie? To ja panu powiadam — ja!

I począł stukać się ręką w piersi, jakby chcąc powiększyć pewność, że to mówi on, nie kto inny.

— Ba! — rzekł, śmiejąc się, Połaniecki — i zarazem najlepszą, najpocziwszą w świecie; ale chodźmy, bo mróz.

Gdy zaś Świrski wziął go pod rękę, dodał z pewnem wzruszeniem:

— Com ja jednak przeszedł podczas jej choroby, to Pan Bóg jeden wie... Lepiej o tem nie wspominać... Zrobiła mi po prostu niespodziankę swoim powrotem do zdrowia, ale też jeśli Bóg da doczekać wiosny, zrobię i ja jej niespodziankę, z której będzie rada.

— Jej niema z kim porównać — odpowiedział Świrski.

Tu, zatrzymawszy się znowu, rzekł jakby z pewnem zdziwieniem:

— I, jak Boga kocham, ile w niej przytem prostoty!

Przez jakiś czas szli w milczeniu, następnie Połaniecki począł wypytywać Świrskiego o wyjazd.

— Zatrzymam się ze trzy tygodnie we Florencyi — odrzekł malarz. — Mam tam jakąś robotę. Prócz tego, stęsknilem się do światła na San-Miniato, do Ginewry, w której się niegdyś kochałem, i do Cimabuego. Pamiętasz pan w Santa

Maria Novella, w kaplicy Rucellai?... Po trzech tygodniach pojedę do Rzymu. Właśnie chciałem o tem z panem pogadać, bo dziś rano był u mnie Zawilek z propozycją, żebyśmy znów jechali razem.

— A! — rzekł Polaniecki. — I zgodziłeś się pan?

— Nie miałem serca odmówić, choć — między nami — on bywa czasem ciężki. Pan przecie wiesz, jak go pokochałem i jak mu współczułem, więc samemu mi przykro to mówić, ale bywa bestya ciężka!... Co tu gadać: zmienił się ogromnie! Na chrzcinach powiedziałem pani, że on chwilami wydaje mi się, jak kosztowne naczynie — rozbite. I to prawda! Albo to ja raz widziałem, jak on się męczył nad tymi listami, w których chciał opisywać dla pani Włochy. Chodził całemi godzinami po pokoju, tarł swoje postrzelone czoło, siadał, wstawał, a papier, jak był czysty, tak i pozostał. Daj Boże, żeby odzyskał dawny lot! Teraz jednak on wszystkim wokoło powtarza, że będzie pisał, ale sam już zaczyna o sobie wątpić — i gryzie się. Wiem, że się gryzie.

— Byłoby to nieszczęście i dla niego i dla panny Heleny — odpowiedział Polaniecki. — Gdybyś pan wiedział, jak jej rozpaczliwie chodziło nietylko o jego życie, ale i o jego talent!

— Byłaby szkoda ogólna — odpowiedział Świrski. — Kogo mi jednak najbardziej żał, to panny Ratkowskiej. Ona też poczyna już wątpić, czy on będzie tem, czem był, i to ją dręczy, może więcej od innych smutków.

— To biedna dziewczyna — rzekł Polaniecki — i tem biedniejsza, iż z tych wszystkich jego zamiarów podróży jedno widać jasno: że on o niej ani myśli. Szczęście, że panna Helena zapewniła jej byt niezależny.

— Ja rok czekam, — odpowiedział Świrski — a po roku oświadczam się powtórnie. Wzięła mnie! niema co gadać! Uważałeś pan, jak jej ślicznie z tymi krótkimi włosami. Powinna zawsze tak chodzić. Rok czekam i milczę, ale potem będę uważał, że mam rozwiązane ręce. Niepodobna też, żeby i w niej przez rok coś się nie zmieniło, zwłaszcza, jeśli tamten nie da znaku życia... Wszystko to jest ogromnie dziwne! Myślisz pan, że ja nie robię wszystkiego, co w mojej mocy, żeby w nim rozdmuchać jakąś iskrę dla niej? Dalibóg, że człowiek nigdy chyba więcej nie robił przeciw własnemu sercu. Pani Bigielowa robi także, co może. Ale trudno! Nikt znowu nie ma prawa powiedzieć mu wyraźnie: «Żeń się!» skoro on jej nie kocha. I to jest jeszcze dziwniejsze, że on i o tamtej, zdaje się, nie myśli. Jedna panna Ratkowska więcej jest

warta, niż cały zagajnik takich „*Topolek*“ — ale to inna rzecz! Mnie o to chodzi, żeby ona nie myślała, że ja umyślnie wywożę Zawilowskiego. Nie odmówilem mu, bom nie mógł, ale, mój drogi panie, jeśli tam kiedy będzie mowa o naszym wyjeździe, wspomnijcież jej, że ja, dalibóg, nie namawiałem Zawilowskiego do podróży i że oddałbym więcej, niż ona przypuszcza, byle jej było dobrze, choćby kosztem starego brysia, jak ja.

— Oczywiście, że tak zrobimy — odpowiedział Polaniecki.

— To i dziękuję! Przed wyjazdem będę jeszcze u pani z pożegnaniem.

— Koniecznie — i to wieczorem, żebyśmy mogli dłużej posiedzieć. Myślę też, że jak pan latem wróci, to czas jakiś zabawicie u nas z Zawilowskim.

— W Buczynku?

— W Buczynku, albo i nie w Buczynku; to jeszcze niewiadomo.

Dalszą rozmowę przerwał im widok Osnowskiego, który w tej chwili wychodził z owocarni, trzymając w ręku zwinięty w róg biały pakiet.

— Patrz pan: Osnowski! — rzekł Świrski.

— A jaki zmieniony! — odrzekł Polaniecki.

I rzeczywiście, Osnowski był ogromnie zmieniony. Z pod futrzanej czapki wyglądała twarz

chuda, poźółkła i jakby wiele starsza. Futro zdawało się na nim wisieć. Ujrzawszy dwóch przyjaciół, stropił się; widocznem było przez chwilę, że się waha i namyśla, czy nie przejść kolo nich, udając, że ich nie poznaje. Ale na chodniku były pustki i zeszli się nadto blisko; więc nagle zmienił zamiar — i zbliżywszy się, począł mówić z nienaturalnym pośpiechem, jakby w chęci zagadania tego, o czem wszyscy trzej wyłącznie myśleli:

— Dzień dobry panom! O, to wypadek, żeśmy się spotkali, bo ja siedzę w Przytułowie i w mieście rzadko bywam. Kupilem sobie właśnie winogron, bo mi teraz każą jeść winogrona. Ale sprowadzają je w trocinach, więc wszystkie czuć trocinami; myślałem, że tu będą lepsze. Mróz dzisiaj — prawda? Na wsi doskonała sanna.

I poczęli iść razem — wszyscy trzej zakłopotani. Połaniecki wreszcie spytał:

— Pan podobno wybiera się do Egiptu?

— To dawny zamiar, ale teraz może się wybiorę. Na wsi w zimie niema roboty, a samemu nudno.

Tu urwał nagle, spostrzegłszy, że wchodzi na śliską drogę.

I szli dalej, w milczeniu jeszcze cięższem, czując tę niezmierną przykrość, jaką czuje się zawsze, gdy, na mocy jakiegoś milczącego

układu, mówi się o rzeczach błahych, skrywając główne i zarazem bolesne. Osnowski radby był ich pożegnać. Ale ludziom, przywykłym przez całe lata do zachowywania pewnych form, chodzi mimowiednie, choćby w największym nieszczęściu, o pozory, więc też i on pragnął znaleźć jakiś łatwy i naturalny sposób do rozstania się z nimi. Tymczasem, nie mogąc nic znaleźć, przedłużał tylko trudne położenie. W końcu też począł ich żegnać tak niespodzianie i nie-naturalnie, jak człowiek, który traci głowę.

Lecz w ostatniej chwili postanowił nagle inaczej. Ta jakaś komedia wydała mu się nieznośną. Miał jej dosyć! Przyszło mu do głowy, że właśnie nie powinien robić z niczego tajemnicy, i że w tem unikaniu każdej wzmianki o nieszczęściu jest coś nędznego. Na twarzy jego znać było przymus i mękę, lecz, zatrzymawszy się, począł mówić przerywanym głosem, tracąc co chwila oddech:

— Moi panowie... Przepraszam, że was jeszcze zatrzymuję... Ale panowie wiecie, żem się rozstał z żoną... Nie widzę powodu, dla którego nie miałbym o tem mówić, zwłaszcza z ludźmi tak uczciwymi i blizkimi... Oświadczam więc panom, że to było... że stało się tak... to jest... to jest, że to ja sobie życzyłem i że żonie mojej nic...

Lecz głos uwiązał mu w gardle, i nie mógł mówić dalej. Widocznie chciał wziąć winę na siebie, ale nagle uczuł cale nieprawdopodobieństwo, cały bezmiar i całą rozpaczliwą czechość tego kłamstwa, które musiałoby być tak pustym dźwiękiem słów, że nawet ni poczucie jakiegoś obowiązku, ni żadne względy światowe, nie mogły go usprawiedliwić.

I straciwszy do reszty głowę, odszedł w męce, razem ze swemi winogronami i ze swem nieszczęściem — bez dna!

A Świrski i Polaniecki szli przez jakiś czas pod wrażeniem tego nieszczęścia — w milczeniu.

— Dalibóg! — rzekł wreszcie Polaniecki — serce się kraje.

A malarz odrzekł:

— Takiemu chyba śmierci życzyć.

— I przecie ten na podobny los nie zasłużył.

— On? — rzekł Świrski. — Daję panu słowo, ilekroć go sobie przypominam, tylekroć widzę go calującego jej ręce. Czynił to tak ciągle, że inaczej nie umiem go sobie wyobrazić...

Po chwili zaś dodał:

— I co mnie jeszcze zastanawia, to, że nieszczęście przecina stosunki ludzkie, podobnie jak śmierć, a jeśli nie przecina zupełnie, to rozluźnia. Wy się niedawno znacie, ale ja, naprzykład, żyłem z nim blisko, a teraz on mi jakiś dalszy,

i ja mu bardziej obcy. I niema rady, a to takie smutne!

— Smutne i dziwne...

Lecz Świrski stanął nagle i zawołał:

— Wie pan co? Niechże tę panią Osnowską piorun zapali! Panna Helena mówiła, że o człowieku nie wolno wątpić, póki żyje, ale tę niech piorun trzaśnie!

A Połaniecki odrzekł:

— Nie było może w świecie kobiety więcej ubóstwianej, niż ona.

— O! masz pan! — rzekł zapalczywie Świrski, — Kobiety, panie, biorąc wogóle...

Lecz nagle uderzył się rękawiczką po ustach.

— Nie! — zawołał. — Do dyabła ze starym nalogiem! Dałem sobie słowo nie robić żadnych ogólnych wywodów o kobietach.

— Ja wspomniałem dlatego, że on ją tak ubóstwiał, — rzekł Połaniecki — że teraz po prostu nie rozumiem, jak on potrafi żyć bez niej.

— A musi! — zakończył Świrski.

Osnowski zaś rzeczywiście musiał, a nie umiał. W Przytułowie i w Warszawie, gdzie pelno było wspomnień o niej, życie stało mu się wkrótce niemożliwym, więc w miesiąc później wybrał się w podróż. Lecz, wyjechawszy niezdrów już z Warszawy, zaziębił się w zbytnio ogrzanym wagonie — i w Wiedniu zapadł tak ciężko, że

musiał się położyć. Zaziębienie, które poczytano z początku za influencję, zmieniło się w gwałtowny tyfus. Po kilku dniach chory stracił przytomność i leżał w hotelu na łasce obcych lekarzy i obcych ludzi, daleko od domu i swoich. Lecząc potem, w gorączce, która zwarzyła mu mózg i pomieszała zmysły, zdawało mu się, że widzi koło siebie jakąś twarz — najdroższą w życiu, kochaną zawsze, kochaną w osamotnieniu, kochaną w chorobie i wobec śmierci. Zdawało mu się to nawet i wówczas, gdy już odzyskał przytomność, lecz tak był osłabiony, że nie mógł jeszcze ni poruszyć się, ni mówić, ni nawet złądzić swych myśli.

Później widzenie znikło.

Ale on począł o nie wypytywać Sióstr miłosierdzia, które niewiadomo kto przysłał, a które otaczały go teraz najtroskliwszą opieką — i począł tęsknić bez miary.

LXVIII.

Po uroczystości chrzeim i po wyjeździe Świrskiego i Zawilowskiego, Polanieccy zaczęli znowu żyć życiem zamkniętem i domowem, nie widując niemal nikogo, prócz Bigielów, pani Emilii

i profesora Waskowskiego. Ale dobrze im było w tem ciasnem kółku blizkich przyjaciół, a najlepiej z sobą. Polaniecki był w tych czasach mocno zajęty; przesiadywał w biurze i dużo za biurem, załatwiając jakieś sprawy, o których nikomu nie wspominał. Lecz po ukończeniu roboty przybiegał teraz do domu z większą jeszcze skwapliwością, niż wówczas, gdy, jako narzeczony, latał każdego dnia do mieszkania Plawickich. Wróciła mu dawna żywość, dawny humor i dawne zaufanie do życia. Niebawem też uczynił odkrycie, które jemu samemu wydało się dziwnem: oto, że nie tylko żonę kocha z całych sił, jak żonę i najbliższą głowę, ale, że kocha się w niej, jako w kobiecie, bez niepokoju i targaniny, bez przeskoków od radości do rozpacz i zwątpień, ale ze wszelkimi wzruszeniami szczerego uczucia, z całym mrowiem pragnień, z wiecznie jednaką, świeżą wrażliwością na jej kobiece uroki i z nieustającym baczeniem, które czuwa, przewiduje, jedna, uprzedza chęci i ustawicznie zabiega, by szczęścia nie zrazić i nie utracić. «Zmieniam się w Osnowskiego,— mówił sobie wesolo — ale mnie jednemu wolno być Osnowskim, dlatego, że «moja mała» nigdy nie zostanie Osnowską!» Często też mówił teraz do niej «moja mała», ale było w tem tyle czci, ile pieśczoćoty. Rozumiał także, że nie

byłby jej tak pokochał, gdyby była inna, że to wszystko jest dzieło jej ogromnej dobrej woli i tej jakiejś dziwnej prawości, która bila od niej tak naturalnie, jak ciepło bije od ogniska. Polaniecki wiedział, że jego rozum był sprężystszy, myślenie rozleglejsze i wiedza głębsza, niż wiedza jej, a jednak czuł, że przez nią — i jedynie przez nią — wszystko to, co było w nim, stawało się jakoś bardziej wykończony i szlachetniejszy. Przez jej również wpływ te wszystkie zdobyte przez niego zasady przechodziły z jego głowy, gdzie były martwą teorią, do jego serca, gdzie stawały się życiem. Pomiarkował, że nie tylko szczęście, ale on sam jest poniekąd jej dziełem. Było w tem nawet trochę rozczerowania do siebie, widział bowiem teraz bez żadnej wątpliwości, że gdyby był dostał byle jaką kobietę, to i sam mógłby być wyjść na byle kogo. Czasem dziwił się nawet, jak ona mogła go pokochać — przypominał sobie jednak wtedy jej wyrażenie «służba boża» — i to tłumaczyło mu wszystko. Dla takiej kobiety małżeństwo było także «służbą bożą», a zatem i miłość nie jakąś dziką siłą, leżącą po za wolą ludzką, ale właśnie aktem dobrej woli, służbą przysiędze, służbą bożemu prawu, służbą obowiązkom. Marynia kochała go dlatego, że był jej mężem. Taka była — i skończyło się! Pola-

niecki długi czas nie mógł pomiarkować, że to wszystko, co w niej tak uwielbiał, nakazuje po prostu pierwszy lepszy katechizm, a w niej wychowanie nie zabiło katechizmu. Być może, że nie chowano jej dość starannie, nauczono ją jednak, że ma służyć Bogu, nie posługiwać się Bogiem.

Lecz Polaniecki, nie rozumiejąc dobrze powodów, dlaczego ona taka jest, jak jest, coraz bardziej ją podziwiał, czcił i kochał. Co do niej, biorąc rzecz bez przesady, nie wpadała w zbyteń o sobie rozumienie; pojmowała jednak, że nie było zawsze tak dobrze, jak dziś, że przeszła przez pewne próby, że postępowała w czasie owych prób poczciwie, że je przetrwała z cierpliwością, i że Pan Bóg ją za to wynagrodził. I poczucie to napelniało ją pogodą. Zdrowie jej wróciło zupełnie. Czula się przytem bardzo ładną i bardzo kochaną! Ow «Stach», którego się dawniej trochę bała, pochylał teraz często swoją ciemną czuprynę do jej kolan, niemal z pokorą, a ona myślała z radością, że «ten pan wcale nie jest z natury pokorny, a jeśli tak robi, to dlatego, że *okropnie* kocha!» I aż rosła. Codziennie zbierało się w niej więcej wdzięczności, i płaciła mu za tę miłość całym sercem.

Młody «Aryjezyk» spełniał też przednio swoją rolę promyka w domu. Czasem wprowadzie by-

wał to promyk wrzaskliwy, natomiast, gdy był w dobrym humorze i gdy, leżąc w ulubionej pozycji, z nogami podniesionemi pod kątem prostym, poczynął wydobywać z siebie okrzyki zadowolenia, cała męska i żeńska ludność w domu zgromadzała się koło jego łóżeczka. Marynia przykrywała mu nogi, nazywając go «brzydkim chłopcem», on zaś skopywał co chwila kolderkę, uważając widocznie, że człowiek z charakterem, skoro raz postanowił wierzgać, powinien w przedsięwzięciu dzielnie wytrwać. Śmiał się też przytem, ukazując swoje malutkie bezzębne dziąsła, pokrzykując, ćwierkając jak wróbel, gruchając jak gołąb, miaucząc jak kot, lub piszcząc jak uistiti. Niania i matka rozmawiały z nim teraz po całych godzinach, profesor Waskowski zaś, który całkiem stracił dla niego głowę, utrzymywał z całą powagą, że to jest «mowa ezoteryczna», która powinna być przez uczonych fonografowana, albowiem mogłaby albo zupełnie odsłonić tajemnice bytu astralnego, albo przynajmniej dostarczyć co do niego walnych wskazówek.

I w ten sposób splywały zimowe miesiące w domu Polanieckich. W lutym sam Polaniecki zaczął wyjeżdżać za jakimiś interesami, a po każdym powrocie odbywać długie narady z Bigielem. Ale od połowy lutego siedział stale w do-

mu, nie wychodząc nigdzie, tylko do biura, albo wyjeżdżając czasem z Marynią i Stasiem na krótkie przejażdżki powozem. Jednostajność życia, a raczej jednostajność pogody i szczęścia przerywały tylko wiadomości z miasta o znajomych, które najczęściej przynosiła pani Bigielowa. W ten sposób Marynia dowiedziała się, że panna Ratkowska, która w ostatnich czasach nie pokazywała się nigdzie, założyła z dochodu, zapewnionego jej przez pannę Helenę, ochronkę dla dzieci, a następnie, że pan Osnowski wyjechał rzeczywiście do Egiptu, ale nie sam, tylko ze swoją «Anetką», z którą po przyjęciu do zdrowia ostatecznie się połączył. Pan Kresowski, dawny sekundant Maszki, widział ich nawet w Tryeście i opowiadał ironicznie Polanieckiemu, że «pani ma minę kornej pokutnicy». Ale Polaniecki, wiedząc z doświadczenia, jak człowiek kruszeje w nieszczęściu i ile może być szczeroci w pokucie, odpowiedział zupełnie poważnie, że skoro panią Osnowską mąż przyjął, to żaden porządny człowiek nie ma prawa być surowszym od niego.

Ale później przysła z Włoch wieść jeszcze dziwniejsza i tak niesłychana, że stała się przedmiotem rozmów nie tylko Polanieckich i Bigielów, lecz i całego miasta, mianowicie, że malarz Świrski oświadczył się w Rzymie o rękę panny

Castelli i że ślub ich ma się odbyć zaraz po Wielkanocy. Marynia była tem tak poruszona, że namówiła męża, aby do Świrskiego napisał i zapytał się, czy to prawda. Odpowiedź przyszła po upływie dni dziesięciu i, gdy Połaniecki wszedł nareszcie do pokoju żony, trzymając za róg koperty i ze słowami: «List z Rzymu!» — poważna pani Połaniecka przybiegła z czerwonymi od ciekawości uszkami, poczem, ze skronią przy skroni, czytali co następuje:

«Czy to prawda? — Nie, drodzy państwo — nie prawda! Ale żebyście zrozumieli, dlaczego nie mogło się to stać i nie stanie się nigdy, muszę wam mówić o Zawilowskim. Przyjechał tu przed trzema dniami, poprzednio namówilem go, by został we Florencyi, a potem zobaczył Sienę, Parmę, a zwłaszcza Rawennę. Stąd wyprawiam go do Aten, i jutro wyjeżdża via Brindisi. Tymczasem przesiadywał u mnie od rana do wieczora, ja zaś widziałem, że mu coś dolega, i chcąc naprowadzić rozmowę na rzeczy, które go najbliżej obchodzą, wczoraj spytałem niebacznie: czy czasem nie ma w tece z pół tuzina raweńskich sonetów. I wiecie co się stało? Z początku pobladł i odpowiedział, że jeszcze nie, ale że wkrótce zacznie pisać — a potem rzucił nagle kapelusz na ziemię i począł szlochać, jak małe dziecko. Nigdy chyba nie widziałem wybuchu

podobnej boleści. Po prostu wiał mi się w rękach, powtarzając, że zabił swój talent, że już w nim nic niema, że nigdy już nic nie napisze i że wolałby był sto razy, żeby panna Helena nie była go odratowała. Oto, co się z nim dzieje, podczas gdy ludzie powtarzają zapewne, że nie pisze, bo ma pieniądze. I to tak już zostanie. Zabili tego biedaka, zamordowali w nim duszę i talent — zgasili duży ogień, przy którym mogłoby być ludziom widno i ciepło. I tego — widzicie — ja nie mógłbym zapomnieć. Bóg z panną Castelli! ale nie godziło się wrywać takich piór, by sobie zrobić z nich wachlarz, który się potem wyrzuca przez okno. Tak! tegobym nie mógł zapomnieć! Mniejsza o to, co tam gadałem w Warszawie, że teraz pozostaje jej tylko szukać księcia Crapulescu, bo nikt inny jej nie weźmie. Na świecie nie brak także i zaślepińców. Co do mnie jednak, nie jestem ani księciem Crapulescu, ani zaślepińcem. Wolno odpuszczać tylko *swoje* własne krzywdy, ale nie cudze, albowiem byłoby to zbyt łatwo. I oto wszystko, co w tej kwestyi mogę wam powiedzieć, gdyż resztę sami wiecie. Czekaam do roku, a potem powtarzam moją prośbę pannie Ratkowskiej. Zechce mnie, czy odrzuci, niech ją w każdym razie Bóg błogosławi — jest to jednak moje nieodmienne postanowienie».

— Tak, — przerwała Marynia — ale skądże się takie wiadomości wzięły?

Leecz w dalszym ciągu listu Świrski dawał na to odpowiedź.

«Te wszystkie plotki — pisał — mogły powstać z tego powodu, iż widywano mnie dość często z temi paniami. Pamiętacie, że za poprzedniej bytności w Rzymie, pani Broniczowa pierwsza do mnie pisała, a następnie, gdym był u nich, panna Castelli, zamiast szukać wykrętów, sama oskarżyła się przede mną. Wyznaję, że mnie to ujęło. Niech co chcą mówią, jest jednak w otwartem wyznaniu winy jakieś rozbudzenie się uczciwości, jakaś odwaga, jakiś zwrot, jakiś jęk żalu, który, jeśli nie odkupuje winy, to przynajmniej może odkupić duszę. I wiercie mi, że w tem, co mówię, tkwi coś więcej, niż moje maślane serce. Pomyślcie także, że im się naprawdę źle dzieje. Małoż to razy widziałem, z jakim one wahaniem zbliżają się do ludzi, i jak ich przyjmują ci, którzy mają odwagę swych zasad. Zebrało się w nich tyle goryczy, że, jak słusznie przepowiedział niegdyś Waskowski, same poczynają się na siebie rozgoryczać. To jest straszne położenie, w którem należy się jeszcze niby do świata, a dźwiga się już brzemień głośnej awantury. Bóg z niemi! Dużoby o tem pisać, ale ja pamiętam teraz zawsze, co powiedziała panna

Helena, że o człowieku nie wolno wątpić, póki żyje. Ta biedna Lineta zmieniła się ze zgryzoty, schudła i zbrzydła, a mnie tem bardziej jej żal. Żal mi nawet i pani Broniczowej, która wprawdzie wyklamuje ludziom dziury w uszach, czyni to jednak z przywiązania do tej dziewczyny. Sam przecie dopiero co powiedziałem, że tylko własne krzywdy wolno odpuszczać, ale byłby człowiek chyba jakimś gorylem, nie chrześcijaninem, gdyby nie odczuł trochę litości nad ludzką biedą. Czy teraz, gdym świeżo zobaczył rozpacz Ignasia, będę miał jeszcze serce pójść do nich — nie wiem — nie żałuję jednak, żem bywał. Ludzie pogadają i przestaną, a za jaki rok — jeśli Bóg da doczekać mnie i tamtej słodkiej dziewczynie — poznają, że gadali głupstwa».

List kończył się wzmianką o Osnowskich, o których połączeniu Świrski już wiedział i słyszał nawet rozmaite szczegóły, nieznane Polanieckim.

«Ja myślę, — mówił — że Bóg jest mocniejszy, niż ludzka przewrotność, a zarazem bajecznie miłosierny, i że czasem pozwala dlatego nieszczęściu bić w człowieka jak młotem, żeby z niego jakąś pocziwszą iskrę wykrzesać. Ja teraz wierzę nawet w odrodzenie się takiej Osnowskiej. Może to jest naiwne, ale chwilami przypuszczam, że całkiem złych ludzi niema

na świecie! Patrzcie, że jednak coś zadrgało i w takiej pani Anecie i że go pilnowała w chorobie. Oj te kobiety! tak mi już przewróciły w głowie, że wkrótce nie będę miał zdania nie tylko o nich, ale o niczem».

Dalej były zapytania o Stasia i serdeczne słowa dla jego życiodawców, a nakoniec obietnica powrotu w pierwszych dniach wiosny.

LXIX.

A wiosna rzeczywiście szła i w dodatku czyniła się zarówno ciepła, jak wczesna. Polaniecki w końcu marca i na początku kwietnia począł znowu wyjeżdżać i spędzać po kilka dni za domem. Obadwaj z Bigielem byli tak zajęci, że niekiedy do późnego wieczoru siedzieli w biurze. Pani Bigielowa przypuszczała, że muszą coś przedsiębrać na wielką skalę, dziwiło ją to jednak, że mąż, który zawsze mówił z nią o wszystkich interesach i niemal myślał przy niej głośno, a nawet często się jej radził, tym razem milczał jak zakłęty. Marynia zauważyła również, że Stach ma zaprzątniętą głowę w niezwykle sposób. Tkliwszy był dla niej niż kiedykolwiek, ale jej się zdawało, że nawet w tej jego tkli-

wości, jak również w każdej rozmowie i w każdej pieśszczocie, jest jakaś trzecia, inna myśl, która go zajmuje tak całkowicie, że ani na chwilę nie może się od niej oderwać. I ten stan jakowegoś roztargnienia powiększał się z każdym dniem, a z nadejściem maja przeszedł w coś gorączkowego. Marynia poczęła się teraz wahać, czy nie zapytać męża, co mu jest. Bała się trochę być natrętną, ale chodziło jej również i o to, by nie pomyślał, że ją jego sprawy zbyt mało obchodzą. W tej niepewności postanowiła czekać na sposobną chwilę, mając nadzieję, że on sam zacznie mówić o swoich zajęciach, choć z daleka.

Jakoż, wkrótce potem, zdawało jej się pewnego dnia, że stosowna chwila nadeszła. Polański wrócił tym razem wcześnie z biura i wrócił z twarzą tak jakoś dziwnie rozpromienioną, choć poważną, że spojrzawszy mu w oczy, prawie mimowolnie spytała:

— Coś ci się musiało zdarzyć pomyślnego, Stachu?

On zaś siadł przy niej, i zamiast odpowiedzieć wprost, począł mówić jakimś trochę dziwnym głosem:

— Patrz, jaka pogoda i jak ciepło. Możliwy już okna otwierać. Wiesz, o czym ja ciągle myślałem w ostatnich czasach? — że i dla twego

zdrowia, i dla Stasia, trzeba nam wcześniej z miasta wyjechać.

A Marynia rzekła:

— Jeśli Buczynek nie najęty?...

— Buczynek sprzedany — odpowiedział Polaniecki.

A następnie, wzięwszy jej obie ręce i patrząc jej w oczy z ogromną miłością, począł mówić:

— Słuchaj, moje drogie stworzenie, ja mam ci coś powiedzieć — i coś, co powinno cię ucieszyć, ale przyrzecz mi, że się nadto nie wzruszysz?

— Dobrze. Co, Stachu?

— Widzisz, dziecinko, Maszko uciekł za granicę, bo miał więcej długów, niż majątku. Wierzyście rzucili się na wszystko, co po nim zostało, by choć cośkolwiek odzyskać. Poszło to na licytację Towarzystwa. Magierówka została rozparcelowana i przepadła, ale Krzemień, Skoki i Suchocin były do uratowania — więc — tylko się nie wzruszaj, kochanie — więc — ja to dla ciebie kupiłem.

Marynia patrzyła na niego czas jakiś, mrużąc oczyma i jakby uszom nie wierząc. Ale nie! Sam był tak wzruszony, że nie mógł żartować. Oczy zaćmiły się jej łzami, i nagle zarzuciła mu obie ręce na szyję.

— Stachu!!

I w tej chwili nie mogła się zdobyć na inne słowa, ale w tym jednym okrzyku było i podziękowanie, i wielka miłość, i kobiece uwielbienie dla dzielności tego człowieka, który wszystkiego potrafił dokazać. Polaniecki zaś zrozumiał to, i w poczuciu tak ogromnego szczęścia, jakiego nigdy dotąd nie doznał, począł mówić, trzymając ją ciągle przy piersiach:

— Ja wiedziałem, że cię to ucieszy, a Bóg jeden wie, że i dla mnie niema większej uciechy, niż twoja radość. Pamiętałem, żeś żalowała Krzemienia, i że to była krzywda dla ciebie — a że można ją było naprawić, więcem naprawił... Ale to nic! Gdybym ci dziesięć takich Krzemieni kupił, jeszczebym ci się nie wypłacił za to dobro, któreś mi wyrządziła, i jeszczebym ciebie nie był wart.

I mówił szczerze, lecz Marynia oderwała głowę od jego ramienia i, podnosząc na niego oczy, zarazem mokre i jasne, rzekła:

— To ja ciebie nie jestem warta, Stachu! i nawet nie spodziewałam się, że będę taka szczęśliwa!

Poczęli się więc sprzeczać, kto więcej wart, ale były w tej sprzeczce częste milczące przerwy, albowiem Marynia, co chwila obejmując go, podsuwała mu swoje śliczne, nieco za sze-

rokie usta, a on wpijał się w nie, a następnie całował naprzemian jej oczy. Przez długi jeszcze czas chciało jej się to śmiać, to płakać z radości, gdyż rzeczywiście szczęście jej przeszło wszystko, czego się kiedykolwiek spodziewała. Oto matka napisała jej niegdyś słabnącą już ręką: «Nie dlatego powinno się wychodzić za mąż, by być szczęśliwą, ale dlatego, by spełnić obowiązki, jakie Bóg wówczas nakłada, a szczęście to tylko przydatek i podarek boży». Tymczasem tego przydatku było teraz więcej, niż się mogło w sercu pomieścić. Były próby, były chwile i smutku i nawet zwątpienia, ale to wszystko przeszło — i wreszcie ten «Stach» nietylko ją pokochał, jak źrenicę własnego oka, ale spełnił więcej, niż kiedykolwiek przyrzekał.

I w tej chwili oto, chodząc wielkimi krokami po pokoju, wzruszony jeszcze, ale rad z siebie i z wyrazem pewnej chępliwości na swojej czarnej twarzy, mówił:

— Cóż, Maryś! Teraz się dopiero zaczniesz robotę! — co? Bo ja o gospodarstwie nie mam najmniejszego pojęcia, i to będzie twoja rzecz. Ale myślę, że administrator będzie ze mnie niezgorzszy! Będziem oboje pracowali, bo to duża rzecz ten Krzemień.

Ona zaś odrzekła, składając ręce:

— Mój Stachu złoty! ja wiem, żeś ty to dla

mnie zrobił. Ale czy aby to tobie nie zaszkodzi w interesach?

— W interesach? Myślisz może, że ja się dałem obedrzyć. Ale gdzie tam! Tanio kupilem! bardzo tanio! Bigiel, który się wszystkiego boi, przyznaje jednak, że to dobry interes. Zresztą zostają dalej w spółce... Ty się tylko, Maryś, nie bój biedy na Krzemieniu, ani dawnych kłopotów. Będzie za co gospodarować — i powiem ci szczerze, że gdyby się dziś cały Krzemień w ziemię zapadł, jeszczebyśmy mieli z czego żyć, razem ze Stasiem.

— Ja — rzekła Marynia, patrząc na niego tak, jak mniej więcej patrzyłaby na Napoleona, lub innego podobnej miary zdobywcę — jestem pewna, że ty potrafisz wszystko, co zechcesz, ale wiem, że to tylko dla mnie kupiłeś Krzemień.

— A spodziewam się! — odpowiedział Polaniecki. — Dlatego, że tam leży twoja matka, dlatego, że cię kocham, i dlatego, że ty kochałaś Krzemień. Ale swoją drogą, tyś mnie nawróciła do ziemi. Przypomniałem sobie, coś mówiła w Wenecyi, gdy Maszko chciał sprzedawać Krzemień Bukackiemu. Nie masz pojęcia, jak ja jestem pod twoim wpływem. Czasem coś powiesz, a ja na razie nic! — ale to we mnie zostaje i później się niespodzianie odzywa. Tak

było i w tej sprawie. Teraz samemu mi się dziwnem wydaje, żeby mieszkać na tej planecie, niby coś mieć, a nie mieć trzech lokci kwadratowych tej ziemi, o których możnaby powiedzieć: «moje!» To już była rzecz postanowiona, to kupno. Możesz zauważyła, że od kilku miesięcy kręcilem się, jak mucha w ukropie. Nie chciałem ci tylko nie mówić, póki nie będzie wszystko skończone; wołałem, żebyś miała niespodziankę. I masz! To za to, żeś mi zdrowa i taka kochana!

Tu, chwyciwszy jej rękę, począł je znowu przyciskać do ust i do czoła; ona chciała również ucałować jego rękę, ale nie pozwolił na to, i wreszcie poczęli biegać za sobą, jak dzieci, po pokoju, mówiąc przytem do siebie słowa dobre i jasne jak promienie. Maryni tak się chciało jechać zaraz do Krzemienia i tak nie mogła myśleć o czem innem, że on w końcu zagroził jej, że stanie się zazdrosny o Krzemień i że go sprzeda.

— Oj! nie sprzedasz! — odrzekła, kręcąc głową.

— Bo co?

Ona zaś, wspiąwszy mu się do ucha, szepnęła:

— Bo kochasz...

A on począł kiwać głową na znak, że tak. Umówili się jednak, ku wielkiej radości Ma-

ryni, że w końcu tygodnia pojedą całym domem do Krzemienia, co było zresztą zupełnie możebne, gdyż Polaniecki urządził dom tak, aby był całkiem gotowy na przyjęcie «dziedziczki». Zapewnił też ją, że prawie nic nie zmienił — i że starał się tylko, by pokoje nie trąciły zbyt pustką.

Nagle począł się śmiać.

— Ale! — rzekł: — ciekawym, co też papa na to powie?

Przypuszczalne zdziwienie «papy» było nowym powodem radości dla Maryni. Nie trzeba było zresztą długo na pana Pławickiego czekać, gdyż po upływie pół godziny przyszedł na obiad. Ledwo się pokazał, Marynia, rzuciwszy mu się na ramiona, wypowiedziała jednym tchem szczęśliwą nowinę, a on istotnie zdumiał się nadzwyczajnie i nawet wzruszył. Może odczuł szczęście córki, może ozwało się w nim z nienacka przywiązanie do tego kąta, w którym tyle lat przeżył, dość, że oczy mu zwilgotniały; na-przód wspomniał o swoim pocie, którym ta ziemia była przesiąknięta, poczem począł mówić coś o «starcu» i o «przytulku na folwarku», a wreszcie, ścisnąwszy za głowę Polanieckiego, rzekł:

— Daj ci Boże, przy większem szczęściu, tylko tak dawać sobie rady, jak ja dawałem —

i bądź pewien, że ani pomocy, ani wskazówek nigdy ci nie odmówię.

Wieczorem zaś u Bigielów, Marynia, upojona jeszcze szczęściem, mówiła do pani Bigielowej:

— No i powiedz! Jak takiego człowieka nie kochać? Powiedz sama!

LXX.

Nazajutrz po przybyciu Polanieckich do Krzemienia wypadła niedziela. Sam Polaniecki wstał późno, gdyż wczorajszego dnia przyjechali po pierwszej w nocy. W Krzemieniu czekała na nich służba z chlebem i solą; potem Marynia, śmiejąc się i płacząc naprzemiany, oglądała wszystkie kąty w domu, a następnie nie mogła usnąć ze wzruszenia prawie do świtu. Z tych wszystkich przyczyn Polaniecki nie puścił jej z łóżka, ponieważ zaś chciała pojechać na sumę do Watorów nieco wcześniej, aby pomodlić się przy kościele za matkę, obiecał, że każe zaprządzić i da jej znać, gdy będzie czas. Tymczasem po śniadaniu wyszedł trochę popatrzeć na swoje nowe dziedzictwo. Była druga połowa maja i dzień wyjątkowo piękny. W nocy padał deszcz, a teraz słońce przeglądało się w małych

kałużach na dziedzińcu i przy zabudowaniach folwarcznych, lamalo się w brylantowe polyski w kroplach zawieszonych na liściach i rozświecało mokre dachy stodół, obór i owczarni. W tych blaskach i w jasnej majowej zieleni drzew, Krzemień przedstawiał się wcale ponętnie. Wśród zabudowań folwarcznych nie było z powodu niedzieli prawie żadnego ruchu, tylko przy stajni kręciło się kilku fernali, którzy mieli jechać do kościoła. Połanieckiego dziwnie uderzyła ta cisza i to uśpienie. Przed niedawnym czasem, zamierzywszy kupić Krzemień, był w nim kilkakrotnie i wiedział, że jest to majątek opuszczony. Maszko począł wprawdzie wznosić śpiechlerz, kryty czerwoną dachówką, ale go nie skończył. Sam nie mieszkał tu nigdy, i w końcu nie mógł nic w majątek wkładać — więc opuszczenie widne było na każdym kroku. Ale nigdy nie przedstawiło się ono Połanieckiemu tak wyraźnie, jak teraz, gdy już mógł sobie powiedzieć: «To moje!» Budynki były jakieś krzywe; ściany w nich niezbyt szczelne, płoty krzywe i rozgrodzone; pod ścianami wałały się szczątki rozmaitych połamanych sprzętów gospodarskich; wszędy ziemia zdawała się chcieć wciągnąć w siebie to, co na niej stało, wszędy widoczne było jakieś bierne pozostawienie rzeczy samym sobie, wszędy widoczna niedbalsć.

Polaniecki o gospodarstwie wiedział tylko tyle, że trzeba być ostrożnym z wkładami — zresztą, prócz jakichś ogólnych wiadomości, które mu się obily o uszy jeszcze za lat dziecinnych, nie miał o niem najmniejszego pojęcia. Jednakże, spoglądając na swoje królestwo, domyślił się, że i pola muszą być uprawne w prostym stosunku do tego niedbalstwa, które naokół widział; miał wyraźne poczucie, że jeśli tu się coś robiło, to raczej ze zwyczaju, z rutyny, jakby dlatego tylko, że coś się robiło lat temu dziesięć, dwadzieścia i sto. Tego natężenia, tej nieustającej czujnej energii, która jest podstawą handlu, przemysłu i wogóle spraw miejskich, nie było tu ani śladu. «Gdybym nie więcej nie przyniósł do tej martwoty, — myślał Polaniecki — to jużby było bardzo wiele, bo tu tego bezwzględny brak. A ja mam prócz tego pieniądze i przynajmniej tyle rozumu, że naprzód wiem, że nie wiem, a powtóre wiem, że się trzeba uczyć i pytać». Pamiętał jeszcze ze swoich czasów belgijskich, że nawet tam, w Belgii, dusza ludzka i napięcie woli więcej znaczyły od najpotężniejszych machin. A pod tym względem liczył na siebie — i mógł liczyć. Czuł się człowiekiem uporezywym i sprężystym. Wszystko, co dotąd brał w ręce, musiało iść, czy chciało, czy nie chciało. Czuł prócz tego, że w interesach ma

głowę nie fantastyczną, ale ściśle rachunkową, i dzięki temu poczuciu, nie tylko nie stracił otuchy na widok opuszczenia, które przed sobą widział, ale znalazł w niem coś naksztalt bodźca. Ta martwota, to zaniedbanie, ta inercya i ta senność zdawały się go wyzywać, a on, wodząc naokół oczyma, mówił im niemal z uciechą: «To dobrze! to się spróbujemy!» I było mu nawet pilno do tej próby.

Te pierwsze oględziny i rozmyślenia nie popsuly mu humoru, ale zabrały sporo czasu. Spojrzawszy na zegarek, spostrzegł, że jeśli chcą być przed sumą w Wątorach, to zaraz czas jechać; kazawszy więc zaprzęgać, wrócił śpiesznie do domu i zapukał do drzwi Maryni:

— Pani dziecizko! — rzekł: — «służba boża!»

— Można! można! — ozwał się przeze drzwi wesoly głos Maryni: — jam już gotowa.

Polaniecki wszedł i ujrzał ją w jasnej wiosennej sukni, podobnej do tej, w jakiej ją widział za pierwszej bytności w Krzemieniu. Ubrała się tak umyślnie, on zaś, ku wielkiemu jej zadowoleniu, zrozumiał jej intencję, albowiem zawołał, wyciągnąwszy do niej ręce:

— Panna Pławicka!

A ona, zbliżywszy się, oparła, jakby zawstydzona, swój różowy nosek o jego policzek i ręką wskazała na łóżeczko, w którym spał Staś.

Poczem wraz z papą Pławickim pojechali do kościoła. Dzień był wiosenny, jasny, pełen ciepłych tchnień i radości. W zagajnikach odzywały się kukułki, a na łąkach widać było brodzące bociany. Wzdłuż drogi dudki i sroki przelatywały przed powozem z drzewa na drzewo. Od czasu do czasu zrywał się powiew i leciał po runi, jak po fali, pochylając żdźbła traw i tworząc chybkie cienie na zieleni pól. Naokół pachniało ziemią, trawą i wiosną, Oboje Połanieckich ogarnął rój wspomnień. W niej odzywała się, przytępiona już nieco życiem miejskim, miłość do ziemi i do wsi, do lasów, do zielonych grudzi, do grusz na polach, do zwężających się w oddaleniu zagonów, do szerokich powietrznych przestworów i do tej, daleko rozleglejszej niż w mieście, przestrzeni nieba. Wszystko to napelniało ją nawpół uświadomioną, ale graniczącą z upojeniem, rozkoszą. Połaniecki zaś wspominał, jak niegdyś jechał tak samo z panem Pławickim do kościoła, i jak tak samo dudki i sroki przelatywały przed nimi z drzewa na drzewo. Tylko teraz czuł przy sobie to różowe stworzenie, które wówczas po raz pierwszy zobaczył, tę dawną pannę Marynię Pławicką. W jednej chwili uprzytomnił sobie w myśli wszystko, co między nimi było: i pierwszą znajomość, i ów czar, jakim go opętała, i dalsze

nieporozumienia, i ten dziwny udział, jaki w ich życiu wzięła Litka, i ślub, i późniejsze pożycie, i wahania się szczęścia, i zmiany, jakie pod wpływem tej jasnej duszy w nim zaszły, i dzisiejsze wypogodzenie się życia. Miał zarazem błogie poczucie, że zło przeszło, że znalazł więcej, niż marzył, i że obecnie mogą wprawdzie przyjść na niego wszelkiego rodzaju nieszczęścia, ale pod względem stosunku z nią życie stało się już raz na zawsze pogodne, ogromnie cne, jednoznaczne niemal ze «służbą bożą», i o tyle słoneczniejsze, niż dawne, o ile ten widnokrąg, który ich otaczał, słoneczniejszy był od miejskiego. Na tę myśl serce zalewało mu szczęście i miłość dla niej. Przyjechawszy do Wątorów, odmawiał «wieczny odpoczynek» za duszę tej matki, której zawdzięczał taką żonę, z niemiejszą gorliwością, niż sama Marynia. Zdawało mu się, że kocha ten proch, pochowany pod kościołem, takim samem synowskiem uczuciem, jak prochy własnej matki.

Lecz tymczasem zadzwoniono na sumę. W kościele znów dawne wspomnienia poczęły się Polanieckiemu cisnąć do myśli. Wszystko, co go otaczało, było takie jakieś znane, iż chwilami miał złudzenie, że był tu wczoraj. W nawie tak samo pełno było szarych głów chłopskich i za-

pachu tataraku; ten sam ksiądz celebrował przy oltarzu, te same gałęzie brzozy, poruszane wiatrem, były od zewnątrz w okno — i Polaniecki znów tak samo myślał, że wszystko mija — mija życie, mijają bóle, nadzieje, porywy, mijają kierunki myśli i całe systemy filozofii — a msza po staremu się odprawia, jakby w niej jednej była wieczysta niepożytość. Nową postacią w starym obrazie była tylko Marynia. Polaniecki, spoglądając chwilami na jej spokojną twarz i podniesione ku oltarzowi oczy, odgadywał, że się modli całą duszą za przyszłe ich życie na wsi, więc dostrajał się do niej i modlił się z nią razem.

Lecz po mszy, na dziedzińcu kościelnym otoczyli ich sąsiedzi, dawni znajomi pana Pławickiego i Maryni. Pan Pławicki jednak napróżno oglądał się za panią Jamiszową, albowiem od kilku dni bawiła w mieście. Natomiast radca Jamisz, wyleczony zupełnie z kataru żołądka, zatem zdrów i odmłodzony, wpadł na widok Maryni w prawdziwy zapal:

— Jest moja pupilka! — wołał, całując jej rękę — jest moja gosposia! Jest «złota Marynia!» Aha! wróciły ptaki do starego gniazda. A jakie to zawsze ładne! Dalibóg, istna panienka, czysty podlotek, a przecie wiem, że jest chłopak na świecie!

Marynia czerwieniła się z zadowolenia, lecz w tej chwili zbliżyli się państwo Zazimscy ze swoim sześciorgiem dzieci, a wraz z nimi i pan Gątowski, vulgo «Niedźwiadek», dawny nieszczęśliwy konkurent Maryni i niedoszły zabójca Maszki. Pan Gątowski zbliżył się niezgrabnie i z pewnem zmieszaniem, jakby olśniony Maryniną urodą i zdjęty żalem po szczęściu, które go ominęło. Jakoż i Marynia przywitała go z pewnem komicznem zakłopotaniem, natomiast Połaniecki wyciągnął do niego przyjaźnie rękę ze wspaniałomyślnością tryumfatora i rzekł:

— Ot, i ja tu znajduję znajomych jeszcze z lat dziecinnych. Jak się pan ma?

— Po staremu — odpowiedział pan Gątowski.

A pan Jamisz, który był w wyborzym humorze, rzekł, spoglądając przekornie na młodego człowieka:

— Ma kłopoty z uregulowaniem serwitutów.

Pan Gątowski zmieszał się jeszcze bardziej, gdyż cała okolica mówiła o tych kłopotach. Od lat kilku biedaczysko ledwie dyszał na swoim Jałbrzykowie. Uregulowanie serwitutów i sprzedaż lasu mogły go jeszcze wyprowadzić na równą drogę, cóż, kiedy wpoprzek wszelkim, nieraz już blizkim zawarciu układom, stawał wiecznie jednaki zarzut ze strony jałbrzykowskich współsąsiadów: «ze pon dziedic na bio-

lem koniu jeździ, z pistolców se strzyło i dziewczkom w ślepią patrzy».

Pan Gątownski, jakkolwiek przywykły od młodych lat do rozmaitych wiejskich korowodów, tracił jednak czasami cierpliwość i wołał z prawdziwą rozpaczą:

— No, co to — psia krew! — ma jedno do drugiego! A żeby was najjaśniejsze pioruny za-trzasły!

Ale po tak przekonywującym «dictum» rajcy jałbrzykowscy składali zwykle nową dojrzałą naradę i, po statecznem rozpatrzeniu wszystkich *za* i *przeciw*, oświadczali znów, drapiąc się w potylicę, że wszystko byłoby dobrze:

«ino ze pon dziedie na biolem koniu jeździ, z pistolców se strzyło i dziewczkom... etc.»

Ale tymczasem Marynia, która do pana Jamisza miała takie przywiązanie, jak do człowieka z rodziny, dowiedziawszy się, że jest słomianym wdowcem, zaprosiła go na obiad. Nie spodzianie jednak pan Pławicki, zły, że nie znalazł w Wątorach pani radczyni, a razem pomny dawnych niedzielnych partyjek z «Gątosiem», zaprosił i «Gątosia» — wskutek czego Polanieccy wyruszyli naprzód i bardzo śpiesznie, aby Marynia miała czas wydać odpowiednie rozporządzenia. Za nimi zabrał się pan Pławicki z radcą,

Gątownski zaś pociągnął na ostatku na swojej bryczce, zaprzężonej w chudą jalbrzykowską fornalnę.

Po drodze pan Pławicki rzekł do radcy Jamisza:

— Nie mogę powiedzieć!... Córka moja jest szczęśliwa. On jest dobry człowiek i energiczna sztuka, ale...

— Ale co? — zapytał pan Jamisz.

— Ale narwany! Pamiętasz sąsiad, że on mnie tak przycisnął o jakieś marne dwadzieścia tysięcy rubli, że musiałem sprzedać Krzemień. A potem co? Potem odkupił ten sam Krzemień... Gdyby zaś był mnie nie przyciskał, nie potrzebowałby kupować Krzemienia, bo wziąłby go darmo po mojej śmierci za Marynią. Dobry człowiek, ale tu... (i mówiąc to, pan Pławicki stuknął się palcem w czoło)... szumi jeszcze! Co prawda, to nie grzech!

— Hm! — odpowiedział radca Jamisz, nie chcąc panu Pławickiemu czynić przykrości uwagą, że gdyby Krzemień pozostał dłużej w jego rękach, toby nie pozostało z Krzemienia.

Pan Pławicki zaś westchnął i rzekł:

— A dla mnie na starość nowy trud, bo i teraz wszystko tam musi pójść moją głową.

Pan Jamisz z trudnością powstrzymał okrzyk: «Niechże Bóg broni!» — znał jednak Polaniec-

kiego o tyle, iż wiedział, że naprawdę niema niebezpieczeństwa. Pan Plawicki też sam niebardzo wierzył w to, co mówił, zięcia się trochę bał i rozumiał dobrze, że teraz właśnie wszystko pójdzie inną głową.

Tak rozmawiając, zajechali przed ganek; Marynia, która już zarządziła, co było potrzeba do obiadu, przyjęła ich ze Stasiem na rękę.

— Chciałam panu przedstawić syna, nim siądziemy do stołu — rzekła: — duży syn! ogromny syn! grzeczny syn!

I w takt do tych słów poczęła go huścić w stronę pana Jamisza, pan Jamisz zaś dotknął palcami Stasiowego policzka, na co «grzeczny syn» naprzód skrzywił się, potem uśmiechnął i wydał nagle okrzyk, który dla badaczy «ezoterycznej mowy» mógł mieć zapewne wyjątkowo doniosłe znaczenie, ale dla zwykłego ucha dziwnie przypominał skrzek sroki lub papugi.

Tymczasem nadjechał pan Gątowski i, powiesiwszy okrycie w sieni na kolku, szukał w niem właśnie chustki do nosa, gdy dziwnym wypadkiem Rozulka, niania Stasiowa, znalazła się także w sieni i, zbliżywszy się do pana Gątowskiego, naprzód podjęła go pod nogi, a potem pocałowała w rękę.

— Ano, jak się masz! jak się masz! A co powiesz? — spytał dziedzic Jałbrzykowa.

— Nic! chciałam się ino pokłonić — odrzekła pokornie Rozulka.

Pan Gątownski przechylił się nieco w bok i począł szukać czegoś palcami w kieszeni od kamizelki, lecz ona widocznie przyszła się tylko pokłonić dawnemu dziedzicowi, bo, nie czekając na datek, pocałowała go znów w rękę i odeszła cicho do dziecinnego pokoju.

Pan Gątownski zaś ruszył z gęstą miną do reszty towarzystwa, podśpiewując sobie basem:

— Um-dry-dry! Um-dry-dry! Um-dramta-ta!!!

Poczem siedli wszyscy do stołu, i rozpoczęła się rozmowa o powrocie państwa Połanieckich na wieś. Pan Jamisz, który sam przez się był człek inteligentny, a jako radca, musiał być z urzędu mądry i wymowny, zwrócił się do Połanieckiego i mówił co następuje:

— Pan przychodzisz na wieś bez znajomości gospodarstwa, ale z tem, czego ogółowi naszych ziemian głównie brak, bo ze znajomością administracyi i z kapitałem. Dlatego ufam i jestem pewien, że nie wyjdiesz źle na Krzemieniu. Powrót wasz to wielka radość dla mnie, nie tylko ze względu na was i na tę moją kochaną uczenicę, ale że to zarazem dowód na to, co ja zawsze mówię i twierdzę, iż większość nas starych musi wyjść z ziemi, synowie jednak nasi, a jeśli nie synowie, to wnuki — wrócą. I wrócą

tężsi, bardziej wyrobieni w życiowej walce, z rachunkiem w głowie, z tradycją pracy. Pamiętasz pan, com ci niegdyś mówił, że ziemia ciągnie i że ona jedna jest prawdziwym bogactwem. Pan wówczas mi zaprzeczałeś, a dziś — patrz — jesteś właścicielem Krzemienia.

— To przez nią! — odpowiedział, wskazując żonę, Polaniecki.

— Przez nią i dla niej! — powtórzył radca. — A myślisz pan, że w mojej teorii niema miejsca dla kobiet i że ja nie wiem, co one warte? One sercem i sumieniem zgadują, gdzie jest prawdziwy obowiązek, i sercem popychają do niego. A prawdziwy obowiązek, równie jak prawdziwe bogactwo — to ziemia.

Tu pan Jamisz, który, na obraz i podobieństwo wielu radców, miał tę słabość, że się sam lubił słuchać, przymknął oczy, żeby się słyszeć jeszcze lepiej, i mówił dalej:

— Tak! wróciłeś przez żonę! Tak, to jej zasługa! i bodaj nam się takie kobiety na kamieniu rodziły; ale swoją drogą, wyście wyszli z ziemi, i dlatego ziemia was przyciągnęła. My wszyscy powinniśmy się naprawdę pieczętować plugiem! I powiem wam jeszcze, że to nietylko wrócił pan Stanisław Polaniecki, nietylko pani Marya Polaniecka — to wróciła Rodzina Polanieckich, bo się w niej odezwał instynkt całych

pokoleń, które z gleby wyrosły i których prochy tę glebę użyźniają.

To rzekłszy, pan Jamisz podniósł się i wzięwszy kieliszek, zawołał:

— W ręce pani Polanieckiej, zdrowie Rodziny Polanieckich!...

— Zdrowie Rodziny Polanieckich! — zakrzyknął pan Gątowski, który, mając serce czule na wymowę, gotów był przebaczyć w tej chwili rodzinie Polanieckich wszystkie serdeczne męki, jakie z jej powodu przeszedł.

I wszyscy udali się z kieliszkami do pani Maryni, która dziękowała wzruszona, Polanieckiemu zaś, gdy się do niej zbliżył, szepnęła:

— Aj, Stachu, jaka ja szczęśliwa!

Lecz gdy całe towarzystwo znalazło się znowu za stołem, pan Pławicki dodał ze swej strony:

— Trzymać się ziemi do ostatka — oto, co całe życie głosilem!

— Bo pewno! — potwierdził pan Gątowski.

Ale w duszy pomyślał:

— Żeby tylko nie te psie krwie, korowody!

A w tymże czasie, w dzieciennym pokoju, Rozuła śpiewała do snu małemu Stasiowi smutną wiejską piosenkę:

«Niesczęśliwe te pokoje,

Oj, Jasienuku mój!!...»

Po obiedzie goście poczęli się zabierać, ale pan Pławicki zatrzymał ich na «partyjkę», tak, że wyjechali dopiero pod zachód. Wówczas Polanieccy, nacieszywszy się naprzód ze Stasiem, wyszli na werendę i dalej do ogrodu, albowiem wieczór czynił się cichy i pogodny. Wszystko, co im przypominało ową pierwszą niedzielę, którą tu spędzili razem, wydawało się im jak jakiś sen cudny i słodki, a tego rodzaju wspomnień było tu na każdym kroku bez liku. Słońce zniżało się tak samo wielkie i promienne, drzewa stały nieporuszone w wieczornej ciszy, czerwieniąc się na czubach od zorzy; z drugiej strony domu klekotały tak samo na gnieździe bociany; ten sam był nastrój — kojący i nieszporny. Oni poczęli chodzić wszędzie, przebiegać wszystkie aleje, zbliżać się do sztachet, patrzeć na pola ginące w oddaleniu, na ciemne pasma lasów, zamykające widnokrąg, i mówić sobie rzeczy ciche, a zarazem tak spokojne, jak spokojny był ów wieczór. To wszystko, co ich otaczało, to miał być ich świat. Oboje czuli, że ta wieś bierze ich w siebie, że poczyna się zawiązywać jakiś stosunek między nią a nimi, i że odtąd życie musi im spłynąć tu, a nie gdzieindziej — pracowite, oddane «służbie bożej», z ludem — na roli.

Gdy słońce zaszło, wrócili na werendę, lecz,

jak niegdyś, tak i teraz pozostali jeszcze na niej, by się zupełnego mroku doczekać. Tylko dawniej Marynia trzymała się daleko od Polanieckiego, a teraz przytuliła się całkiem do jego boku i po chwili milczenia rzekła:

— Będzie nam tu z sobą dobrze, Stachu — prawda?

A on objął ją mocno, tak, aby ją czuć przy samem sercu, i począł powtarzać:

— Moja kochana! moja bardzo kochana!...

Tymczasem z ponad spowitych w tumany olszyn podniósł się rumiany księżyc — i żaby w stawach, zwiedziawszy się już widocznie, że wróciła ta panienska, którą niegdyś tak często widywały nad brzegiem, ozwały się wśród wieczornej ciszy jednym wielkim chórem:

— Rade! rade! rade! rade!...

I odtąd poczęło się obojgu snuć życie, nie wolne od trosk, ale w którym było jednak więcej miodu, niż piolunu.

Autor zaś niniejszej książki pił ów miód — mocą wyobraźni.

„Tygodnik Ilustrowany“ daje rocznie przeszło 1200 ilustracji, oraz bezpłatne reprodukcje kolorowe obrazów artystów naszych.

W „Tygodniku Ilustrowanym“ drukują się stale jednocześnie **dwadzieścia utworów** powieściowe i nowelistyczne **oryginalne** cenniejszych autorów polskich.

W dodatku powieściowym, dołączanym w arkuszach, daje Tygodnik utwory powieściowe głośniejszych pisarzy obcych.

Każdy prenumerator

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

otrzyma w r. 1900 bez żadnej dopłaty
dalszych

12 tomów dzieł Sienkiewicza

w nowem wydaniu, obejmującym w 10-ciu arkuszowych tomach wszystkie utwory autora „**QUO VADIS**“.

Oprawa 12 tomów Dzieł Sienkiewicza wynosi rs. 2 (złr. 2.40); w tym stosunku na oprawę 6 tomów dołączać należy rs. 1 (złr. 1.20); na oprawę 3 tomów kop. 50 (cent. 60).

Pierwszych 12 tomów, zawierających:

Szkice węglem, Stary sługa, Hania, Janko muzykant, Listy z Ameryki, Z Puszczy Białowieskiej, Bez dogmatu, Jamioł, Organista z Ponikły, Listy z Rzymu, Wenecyi, Paryża, Komedya z pomyłek, Sachem,

mogą nabywać czytelnicy nasi za dopłatą rs. 5 (złr. 6.50), w oprowie rs. 7 (złr. 8.90) za 12 tomów. Przesyłka kop. 80.

Prenumerata „Tygodnika Ilustrowanego“ wraz z dodatkiem powieściowym i 12-tu tomami dzieł H. Sienkiewicza wynosi: w Warszawie rocznie rub. 8; z przesyłką pocztową w Król. i Ces. kwart. rub. 3, półrocznie rub. 6, rocznie rub. 12, zagranicą: rocznie rs. 13, półrocznie rs. 6 kop. 50, kwartalnie rs. 3 kop. 25.

W Krakowie kwartalnie 3.30 złr., we Lwowie kwartalnie złr. 3.60, a w Galicyi z przesyłką poczt. kwartalnie złr. 3.75. W Poznaniu rocznie Mk. 24, z przes. pocztową w Cesarstwie Niemieckiem Mk. 30.

Adres Administracyi „Tygodnika Ilustrowanego“:
Krakowskie Przedmieście, 17, Warszawa.



WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

78958 L-P

Biblioteka WSP Kielce



0226132